

magazyn

997

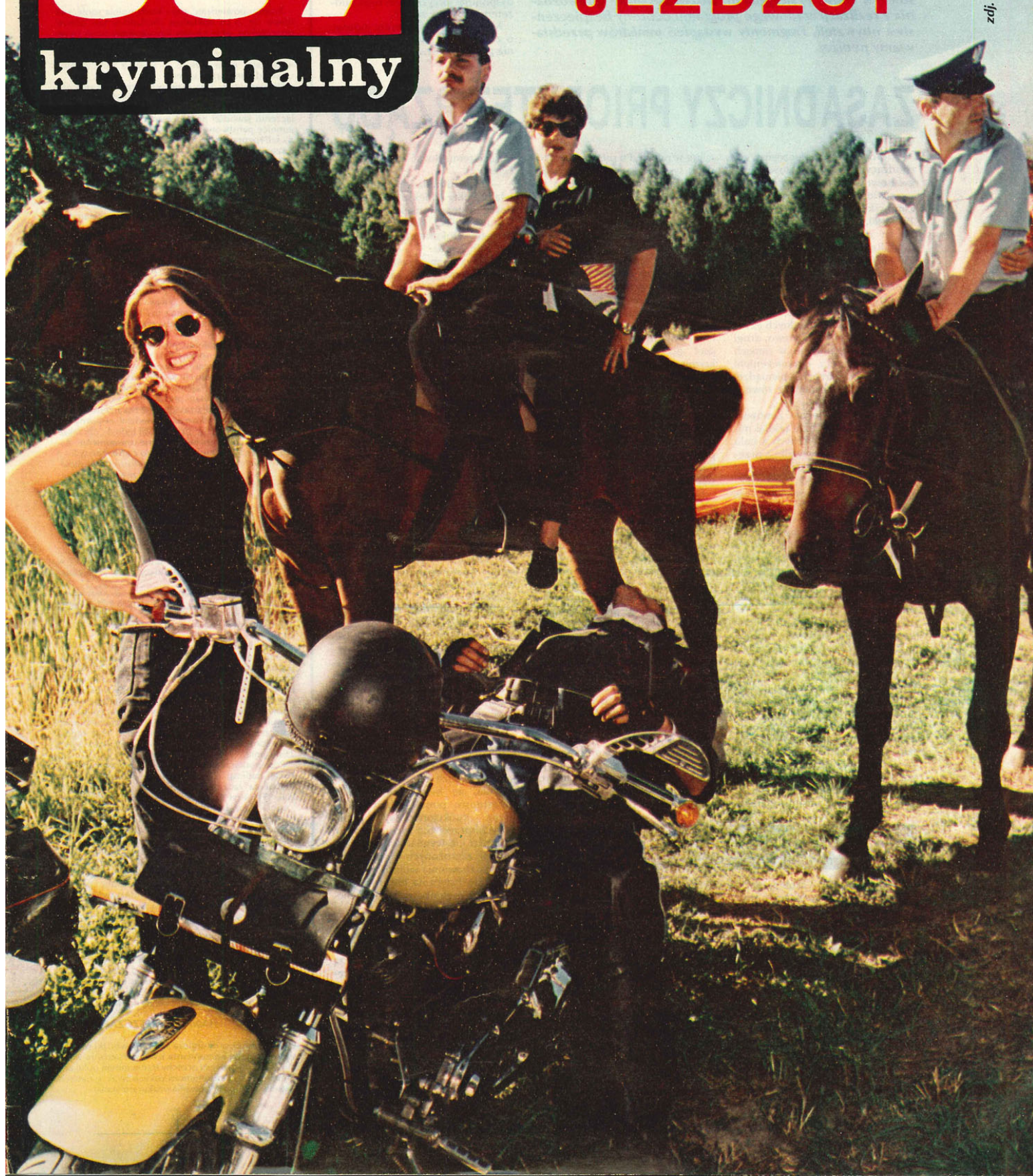
kryminalny

PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

• NR 18 (2009) • 17 IX 1995 r. • Cena 1 zł 40 gr (14 000 zł) •

SWOBODNI JEŹDźCY

zdj. Wiesław Sumiński





Minister sprawiedliwości Jerzy Jaskiernia i wiceminister spraw wewnętrznych Jerzy Zimowski na konferencji prasowej w URM, 24 sierpnia br. złożyli obszerne sprawozdania z realizacji rządowego programu ochrony bezpieczeństwa obywateli. Fragmenty wystąpień ministrów przedstawiamy poniżej.

ZASADNICZY PRIORYTET RZĄDU

— Procesom społecznym zachodzącym w Polsce towarzyszy gwałtowny wzrost przestępczości — stwierdził wiceminister Jerzy Zimowski. Nastąpił on w latach 1989—90, o około 65% w stosunku do lat ubiegłych. Do 1993 roku ustabilizował się na poziomie ok. 850—870 tys. przestępstw rocznie. W latach 1994—95 obserwujemy dalszy, niebyty dotychczas, wzrost przestępczości.

Zwalczanie przestępczości zależy od trzech równorzędnych czynników. Pierwszy — to prawo, drugi — ludzie i organizacje, w ramach których walczą z ograniczeniem przestępczości, trzeci — pieniądze. Są to czynniki absolutnie równorzędne. (...)

Wiceminister Jerzy Zimowski omówił działania, jakie podjął minister spraw wewnętrznych w celu zwiększenia efektów walki z przestępczością. Przedstawił dane z najnowszego raportu o największych zagrożeniach przestępczością w Polsce. Na pierwszym miejscu wymieniał przestępczość zorganizowaną, o wysokim stopniu organizacji, wyposażenia w środki techniczne, o powiązaniach międzynarodowych, odznaczająca się dużą brutalnością, dużą konsekwencją i dużym nasileniem woli przestępczej.

— Jest to zjawisko najgroźniejsze — powiedział J. Zimowski — policja polska do tej pory nie miała bowiem z nim do czynienia.

Drugim zagrożeniem, także groźnym, jest przestępczość gospodarcza związana z przemianami gospodarczymi w Polsce. Trzecim, wzrost kryminalnej przestępczości odznaczającej się szczególną brutalnością. Wszystko to powoduje, że w odczuciu społecznym zjawiska te budzą niepokój. Żeby skuteczniej przeciwdziałać przestępczości wprowadzono zmiany organiza-

cjne w policji. Po pierwsze, wykonano systemową analizę przestępczości w Polsce, sporządzono tak zwaną mapę zagrożeń. Wynika z niej, że najbardziej zagrożone przestępczością są duże miasta z Warszawą na czele, gdzie popełnia się ponad 10% wszystkich przestępstw. Po drugie, w 15 miastach najbardziej zagrożonych przestępczością utworzono wydziały do zwalczania przestępczości zorganizowanej i wzmocniono je dodatkowymi 150 etatami z KGP. Po trzecie, powołany został specjalny zespół do zwalczania terroryzmu kryminalnego. Szczególnie Warszawa jest dotknięta tym zjawiskiem, chodzi o zamachy bombowe. Zwiększono także obsadę laboratorium kryminalistyk.

W Polsce około 300 tys. ludzi utrzymuje się profesjonalnie z popełniania przestępstw, a około miliona w ciągu roku popełnia przestępstwa.

Spadło zagrożenie fałszerstwami pieniężnymi i dokumentami. Nadal natomiast do najczęstszych popełnianych przestępstw zaliczają się kradzieże samochodów. Wykrywalność utrzymuje się na stosunkowo niskim poziomie. Policja pracuje obecnie nad zmianą koncepcji walki ze złodziejami samochodów.

W dziedzinie prawa nastąpiły również zmiany. Najważniejsze, to uchwalenie zmian w tzw. ustawach policyjnych, które dają policji nowe, bardzo śmiałe instrumenty zwalczania przestępczości. Minister spraw wewnętrznych opracował projekt ustawy o cudzoziemcach, która uporządkuje wiele spraw związanych z otwartymi granicami. W przygotowaniu jest kolejna ustawa o świadku koronnym, gdyż poprzednia nie została przyjęta w Sejmie. Trwają prace nad projektem ustawy o agencjach ochrony mienia oraz broni i amunicji.

W projektach budżetowych rząd przyjął, że policja otrzyma dodatkowo przynajmniej 5 tys. etatów, a pieniądze na wydatki rzeczowe w policji będą zwiększone o około 5%. Do poprawnego budżetu MSW, który zapewniałby funkcjonowanie wszystkich służb, potrzeba jeszcze 8 bln złotych. Wątpię należy, czy budżet państwa stać będzie na taką kwotę. Wówczas przedstawimy opinii publicznej, co skutkiem takich rozwiązań budżetowych, nie będzie wykonane i co, dysponując przyznanym nam budżetem, możemy zrobić.

Minister Jerzy Jaskiernia mówił o zwiększeniu skuteczności ścigania przestępców zwrócił uwagę na

mające temu służyć zmiany legislacyjne.

— W lipcu Rada Ministrów przyjęła projekty kodeksu karnego, kodeksu postępowania karnego i projektu kodeksu karnego wykonawczego. Dokumenty te wkrótce trafią do Sejmu.

12 lipca Sejm uchwalił rządowy projekt ustawy, który zawiera wiele rozwiązań zapewniających większą skuteczność zwalczania przestępczości. Jest tam zwiększenie odpowiedzialności karnej za wymuszenie rozbójnicze, za wymuszenie haraczu, za czynną napaść na sędziów i prokuratorów. Zwiększona jest również odpowiedzialność za przestępstwa popełnione w zorganizowanych grupach lub w związkach mających na celu przestępstwa (powiązania mafijne).

3 listopada wejdzie w życie nowela do kodeksu postępowania karnego, dotycząca świadka incognito.

Od 1 czerwca 1994 r. w Departamencie Prokuratury działa Wydział Koordynacji Ścigania Przestępczości Zorganizowanej, a 30 czerwca br. zakończone zostało tworzenie wydziałów śledczych do zwalczania przestępczości zorganizowanej w 11 prokuraturach wojewódzkich.

Od 1 października br. planowane jest utworzenie 8 prokuratur wojewódzkich w miastach, gdzie istnieją sądy wojewódzkie.

W Sejmie znajdują się dwa projekty ustaw o służbie więziennej, które przewidują nową strukturę organizacyjną służby więziennej i zapewniają osobom pozbawionym wolności humanitarne odbywanie kary.

Sejm, ustawą z 12 lipca — nowelizacją do kodeksu karnego art. 108 — wprowadził zmianę, która zapewnia, że bieg przedawnienia przestępstw popełnionych w PRL przez funkcjonariuszy publicznych, przeciwko życiu, zdrowiu, wolności lub wymiarowi sprawiedliwości, zagrożonych karą powyżej 3 lat pozbawienia wolności rozpoczyna się 1 stycznia 1990 roku. Nie zachodzi więc obawa przedawnienia tych przestępstw.

— Są to niektóre tylko problemy przedstawiane przez ministrów resortów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo obywateli. Świadczy o tym, że ta sprawa jest rzeczywiście priorytetem. Nigdy bowiem dotąd w takim tempie nie porządkowano przepisów prawa, organizacji służby i zarządzania. Może jest to zapowiedź, że będzie bezpieczniej.

ELŻBIETA CIERLICA

zdj. P. Kacak

Sprawa poznańskich policjantów przed sądem

TAJEMNICA WAGI PAŃSTWOWEJ

Trudno powiedzieć, czy i kiedy opinia społeczna dowie się, o co dokładnie chodziło w tzw. aferze poznańskiej, jakie zarzuty formułowane przez prasę wobec policjantów znalazły potwierdzenie w prowadzonym przez prokuraturę katowicką śledztwie i wybiegając w przyszłość — które z nich zostaną udowodnione przed sądem.

W pierwszym, i na razie ostatnim, dniu procesu karnego w tej sprawie, 23 sierpnia 1995 r., Sąd Wojewódzki w Poznaniu podjął bowiem decyzję o wyłączeniu jawności postępowania ze względu na tajemnicę państwową. Dziennikarze byli więc obecni na sali rozpraw tylko przez chwilę potrzebną do ogłoszenia tej decyzji.

Za zamkniętymi drzwiami sąd rozpoczął sprawę jednego z oskarżonych, byłego naczelnika wydziału ds. Przestępczości Gospodarczej KWP w Poznaniu, Mieczysława G., który nie stawiał się na proces z powodu pobytu w szpitalu. Nieoficjalnie wiadomo, że cierpi on na poważną chorobę płuc i na załamanie nerwowe.

Po dłuższym oczekiwaniu przewodniczący składu sędziowskiego, sędzia sądu wojewódzkiego Michał Laskowski, poinformował dziennikarzy, że sąd dopuścił dowód z opinii biegłych lekarzy, którzy zbadają stan zdrowia oskarżonego. Zgodnie z ich opinią sąd wyznaczy nowy termin rozprawy. Ewentualne wyłączenie sprawy Mieczysława G. do odrębnego rozpoznania raczej nie może być brane pod uwagę z powodu powiązania ze sobą wątków i konstrukcji zarzutów.

Decyzję o utajnieniu procesu sędzia Laskowski tłumaczył tym, że sprawa była utajniona już w toku postępowania przygotowawczego. W materiałach śledztwa dostarczonych sądom znajdują się akta operacyjne objęte tajemnicą. Powołują się na nie prokuratorzy podpisani pod aktem oskarżenia i dlatego tajne jest także uzasadnienie oskarżenia.

Sędzia Michał Laskowski powiedział, że jawny będzie tylko wyrok, nie sprzecywał jednak, czy także jego ustne i ewentualne pisemne uzasadnienie. Zanim do tego dojdzie, minie sporo czasu. Nie tylko z powodu choroby jednego z oskarżonych, ale dlatego, że — jak określił sędzia przewodniczący — sprawa jest szczególnie obszerna.

Niewiele więcej można się było dowiedzieć od obecnego na rozprawie prokuratora Jana Czapikę z Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach. Potwierdził, że nie wolno mu ujawniać treści aktu oskarżenia ani udzielać bliższych informacji o postępowaniu karnym. Powiedział jedynie, że aktem oskarżenia objętych jest trzech byłych funkcjonariuszy KWP w Poznaniu i dwie osoby trudniące się w przeszłości działalnością handlową.

Byłym funkcjonariuszom zarzuca się kierowanie paserstwem (art. 16 k.k. w zw. z art. 215 § 2 k.k.) oraz popełnienie wobec przestępstw innych osób i przekroczenie uprawnień urzędniczych (art. 252 § 1 k.k.).

W czerwcu 1995 r. do Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu wpłynął także akt oskarżenia przeciwko byłemu komendantowi wojewódzkiemu Policji w Poznaniu Kazimierzowi K. Akta i tej sprawy są utajnione. Wiadomo jedynie, że były komendant jest oskarżony o przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków służbowych. Sąd nie wyznaczył jeszcze terminu rozprawy, ale rozważana jest możliwość połączenia obu spraw: Kazimierza K. oraz pięciu oskarżonych, która miała rozpocząć się przed sądem 23 sierpnia.

Poza podejrzeniem został były komendant główny Policji nadinsp. Zenon Smolarek, którego „Gazeta Wyborcza” łączyła z nadużyciami w poznańskiej policji. Wytoczył on tej gazecie, spółce wydawniczej „Agora” oraz dziennikarzom Piotrowi Najstubbowi i Maciejowi Gorzelińskiemu proces cywilny o ochronę dóbr osobistych, w związku z publikacją „Korupcja w poznańskiej Policji” z 25 marca 1994 r.

W czasie pierwszej rozprawy przed Sądem Wojewódzkim w Poznaniu, 21 sierpnia 1995 r., Zenon Smolarek wskazał na błąd w publikacji „Gazety Wyborczej” w części dotyczącej jego osoby i polegające na podaniu nieprawdy. Tego dnia sąd przesłuchał także świadka Kazimierza K., byłego komendanta wojewódzkiego Policji w Poznaniu. Proces został odcroczony bez terminu z powodu choroby kolejnego świadka Mieczysława G.

W rozmowie z dziennikarzem „Gazety Policyjnej” nadinsp. Zenon Smolarek wyraził nadzieję, że możliwe będzie przesłuchanie przez sąd tego świadka w szpitalu i że proces zakończy się jesienią. Wtedy — obiecał — byłby komendant główny — udzieli naszej gazecie obszernej wypowiedzi na temat swojej sprawy.

HANNA ŚWIECZAKOWSKA

PS Na wniosek prokuratora Sąd Wojewódzki wyłączył sprawę byłego komendanta KWP w Poznaniu Kazimierza K. do procesu przeciw trzem innym policjantom i dwóm biznesmenom oskarżonym w ramach tego samego postępowania prokuratorskiego.

KATASTROFA LOTNICZA

28 sierpnia 1995 r. około godz. 15.00 w Poznaniu doszło do katastrofy lotniczej. Samolot typu „Seneca” o znaku „N 2082D”, na pokładzie którego znajdowało się 6 obywateli Szwajcarii (w tym pilot), spadł w rejonie cmentarza Junikowskiego przy ul. Cmentarnej. Ze wstępnych ustaleń wynika, iż pilot kilka minut po starcie zgłaszał obsłudze lotniska awarię i usiłował powrócić na lotnisko Ławica, by awaryjnie lądować. Wszystkie osoby będące na pokładzie samolotu poniosły śmierć. Dotychczas nie ustalono, aby w wyniku katastrofy ucierpiały inne postronne osoby. Na miejsce wypadku udali się przedstawiciele Prokuratury, PLL „Lot”, Policji, Państwowej Straży Pożarnej, pogotowia.

Osoby, które były świadkami powyższego wypadku, a dotychczas nie miały kontaktu z Policją w tej sprawie, proszone są o zgłoszenie się w komendzie Rejonowej Policji Poznań-Grunwald ul. Rycka 2 lub telefonicznie 41-21-11, 41-21-12 (czynny całą dobę).

J.S.

FAŁSZERZE ZATRZYMANI

W III dekadzie sierpnia funkcjonariusze KWP w Gdańsku na podstawie uzyskanych informacji operacyjnych ustalili miejsca, gdzie od kilku miesięcy fałszowano różnego rodzaju dokumenty takie, jak: blankiety dowodów osobistych, paszportów, prawa jazdy, dowodów rejestracyjnych, książeczek wojskowych, świadectw ukończenia szkół średnich, świadectw ukończenia szkoły podstawowej, druki odpraw celnych, różnego rodzaju dyplomy mistrzowskie.

W trakcie przeszukań mieszkań w Gdyni i w Gdańsku zabezpieczono znaczną liczbę wymienionych dokumentów, które pochodzą z uprzednio dokonanych włamań do różnego rodzaju urzędów i szkół na terenie całego kraju.

Zabezpieczono ponad 1200 blankietów prawa jazdy, 50 dowodów rejestracyjnych, ponad 100 świadectw ukończenia szkół średnich i podstawowych, 71 blankietów paszportów polskich. Ujawniono i zabezpieczono również znaczną liczbę fałszywych banknotów, w tym marek niemieckich o nominale 100 DM — 180 sztuk oraz kilka sztuk dolarów amerykańskich o nominale 100 i 50 USD, a także ponad 200 sztuk koron szwedzkich o nominale 1000. Ponadto w przeszukanych mieszkaniach ujawniono i zabezpieczono oryginalne i podrobiane pieczętarki służące do legalizacji m.in. dowodów rejestracyjnych samochodów, a także maszyny służące do odświeżania tzw. suchych pieczęci w dokumentach tożsamości (dowód osobisty i paszport).

Zatrzymano 3 osoby. W stosunku do dwóch mieszkańców Gdańska i Gdyni prokurator rejonowy zastosował areszt tymczasowy.

W.D.

ODZYSKANIE „DROGI KRZYŻOWEJ”

W nocy z 8 na 9 sierpnia włamano się do kościoła w Nadolich Wielkich (woj. wrocławskie). Sprawcy po sforsowaniu drzwi łomem dostali się do wnętrza, gdzie wycieli z ram 13 obrazów „Drogi Krzyżowej”, pochodzących z przełomu XIX i XX wieku, oraz dwa obrazy współczesne z ołtarzy bocznych, o łącznej wartości 29 tys. nowych złotych. Kradzież ta została ujawniona dopiero 11 sierpnia przez sprząającą świątynię kobietę (w kościełku tym msze odbywały się tylko w niedziele). Jednak dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności sprawcy zostali dzień wcześniej zatrzymani przez wrocławską Policję.

10 sierpnia funkcjonariusze z Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KRP Wrocław-Śródmieście uzyskali informację, że w jednym z miejscowych parków ma dojść do sprzedaży obrazów o treści religijnej pochodzących najprawdopodobniej z przestępstwa. W wyniku podjętych czynności zatrzymano do kontroli samochód „Fiat 126p”, w którym znajdowało się trzech mężczyzn, mieszkańców Wrocławia: Zdzisław K., lat 28, Kazimierz S., lat 54 i 41-letni Jacek Z. W bagażniku samochodu policjanci odkryli ukradzione w Nadolich Wielkich obrazy oraz narzędzia służące do włamania. Jak ustalono, kradzieży dokonali Zdzisław K. i Kazimierz S. W mieszkaniu Jacka Z., pasera, zabezpieczono 15 innych obrazów o różnych wielkościach i tematyce mogących pochodzić z kradzieży.

P.Kit.



WYBÓR ZDARZEŃ KRYMINALNYCH pod redakcją MARCELA TABORA

STÓJ! POLICJA!

RENCISTA SZEFEK GANGU

Mieszkaniec Stronia Śląskiego (woj. wałbrzyskie) Wojciech K. dał ogłoszenie, że chce sprzedać dwa używane samochody: opła recorda i volkswagena busa transportera. Wkrótce w jego domu jednorodzinny zadzwonił telefon. Nieznany mężczyzna, mówiący z silnym akcentem rosyjskim, wyraził chęć ewentualnego zakupu obu pojazdów. Ustalono, że o umówionej godzinie zjawi się u pana K. w towarzystwie kolegi. I tak się stało. U właściciela obu zachodnich wozów pojawili się dwaj mężczyźni — jeden wyglądał na niecałe 30 lat, drugi na około 23. Byli uprzejmi i elegancko ubrani, biła od nich woń dezodorantu dobrej marki.

Pan K. poprosił gości, aby usiedli, a jego żona podała kawę. Przystąpiono do rozmowy o interesach. Goście zapytali o dokładną cenę, gospodarz podał ją: wynosiła 17 tys. nowych złotych. Potencjalni kupcy oznajmili, iż są przygotowani na taki wydatek, a następnie poprosili o umożliwienie im obejrzenia samochodów. We trzech poszli do garażu. Po dokładnym obejrzeniu towaru, który miał pewne mankamenty (np. opła trzeba było zapalać na popych), goście oznajmili:

— Bierzemy je.

Jednak zamiast pieniędzy zaskoczony właściciel otrzymał kopnięk w kroczce, a po chwili starszy z mężczyzn przystawił mu do skroni pistolet.

— Masz tu siedzieć przez godzinę i nie zawiadamić Policji, inaczej wrócimy i podpalimy twój dom — usłyszał. Napastnicy wyjechali z garażu — najpierw oplem, później volkswagenem — a następnie zamknęli w nim właściciela. Ten jednak nie dał się zastraszyć. Szybko wy dostał się z pułapki i zawiadomił miejscowy komisariat.

Z udziałem funkcjonariuszy z KRP w Bystrzycy Kłodzkiej oraz KWP w Wałbrzychu podjęto zakrojone na szeroką skalę działania pościgowe i blokady dróg. Przyniosły one efekty. Tego samego dnia sprawcy napadu Wojciech K. oraz ich dwaj współnicy znaleźli się za kratkami, a samochody odzyskano. Trzej z zatrzymanych to obywatele Ukrainy, natomiast czwarty Białorusin. Ten ostatni, Fiodor S., był szefem grupy i człowiekiem, który dokonał napadów na pana K. i groził mu bronią. Był on już wcześniej aresztowany za kradzieże samochodów, ale zwolniono go za kaucją. Przesłuchującym go policjantom powiedział, że jest byłym oficerem Armii Radzieckiej, zwolnionym z wojska ze względu na uraz głowy i przebywającym na rencie.

P.Kit.

ODWAGA DŁUŻNIKA

W Siedlcach aresztowano trzech miejscowych Polaków w wieku 19—35 lat oraz 36-letniego Rosjanina podejrzanych o to, że grożą zamachem na życie Mirosława R. i jego rodziny usiłovali zmusić go do zapłacenia 16 tys. nowych złotych. Pan R. nie dał się jednak zastraszyć i powiadomił prokuraturę. Kiedy czterech zuchów zjawilo się w umówionym terminie w jego domu po pieniądze, czekali tam na nich policjanci z komendy rejonowej.

Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, iż mężczyźni ci działali na zlecenie Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Ceglówce, której Mirosław R. winien był 8200 zł. za pobrane na kredyt nawozy i inne artykuły rolne.

P.Kit.

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Był sam. Przez dłuższy czas obserwował ruch na stacji paliw w Turku (woj. konińskie). Swym zachowaniem nie budził podejrzeń.

Dochodziła godz. 20.00. Ruch kołowy zmierał. Tylko pojedyncze samochody od czasu do czasu zajeżdżały do któregoś z dystrybutorów. W pewnej chwili zrobiło się zupełnie pusto. Na ten moment czekał przechadzający się poza obrybem stacji młody mężczyzna. Nagłym skokiem dopadł kasjera Jana W. i bez ostrzeżenia zadał mu trzy ciosy nożem w brzuch. Gdy ofiara padła na asfalt, napastnik zrabował jej szaszetkę z utargiem wynoszącym 1300 zł, po czym zbiegł.

Zawiadomieni policjanci wezwali karetkę pogotowia ratunkowego i wszczęli poszukiwania sprawcy rozboju. W rezultacie przedsięwzięć operacyjnych napastnik został wkrótce ustalony i zatrzymany. Okazał się nim osiemnastoletni uczeń technikum. Przy zatrzymanym znaleziono nóż ze śladami krwi ofiary napadu. Sprawca rozboju zdołał już przepuścić część zrabowanych pieniędzy. Resztę odzyskano.

Wkrótce w sprzedaży 18 numer „Gazety Policyjnej”

Polecamy w niej: ● Niepotrzebny konflikt — „Dwie racje” ● Prawo i praktyka — „O szkoleniu policjanta” ● Kryminalistyka na tropach zbrodni — „Wódka wskazuje mordercę” ● Z akt pokrytych pajęczyną — „Policja graniczna” ● Rozmowa o prawidłowych interwencjach domowych z koordynatorką programu przeciwdziałania przemoc w rodzinie Katarzyną Kądziałą ● Policja a prawa człowieka — „Użycie siły przez policję” ●

Zuchwałego napastnika osadzono w policyjnej izbie zatrzymań do dyspozycji prokuratora.

Postępowanie prowadzi KRP w Turku. E.N.

„POZNAŃSKA” KOKA

21 sierpnia br. policja poznańska zatrzymała Krzysztofa K., byłego właściciela zakładu przetwórstwa owocowo-warzywnego jako podejrzanego o usiłowanie dokonania przemytu 115 kg kokainy. Narkotyki z Kolumbii przypłynęły na początku lipca do portu w Amsterdamie. Wartość rynkowa zatrzymanego narkotyku to ok. 7 mln USD. Kokaina dotarła w transporcie soków owocowych.

W stosunku do podejrzanego Wydz. ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Wojewódzkiej zastosował areszt tymczasowy. Czynności mające na celu wyjaśnienie wszystkich aspektów przemytu prowadzi wspólnie Prokuratura Wojskowa i KWP w Poznaniu. Ujawnienie przemytu było możliwe dzięki bezpośredniej współpracy policji polskiej z policjami innych państw oraz służb celnych w Holandii.

J.S.

Z NOŻEM NA PRZEPUSTCE

Sprawców było czterech. Wszyscy sprawiali wrażenie uczniów szkoły średniej. Mieli chęć na alkohol, ale nie dysponowali pieniędzmi. Postanowili je zdobyć.

Na ofiarę upatrzyli sobie osiemnastolatka Jacka W., ucznia szkoły muzycznej. Zaatakowany chłopiec nie mógł spełnić rozbójniczych żądań, gdyż nie miał przy sobie zadowalającej napastników kwoty. To ich rozwścieczyło. Jeden ze sprawców rozboju sięgnął do kieszeni po nóż, którym zadał ofierze dziewięć ciosów w plecy i w klatkę piersiową. Ciężko rannego chłopca zabrało pogotowie ratunkowe.

Zawiadomieni o rozboju policjanci z KRP Łódź-Śródmieście podjęli energiczne działania. W ich wyniku zatrzymali uczestnika rozboju, a zarazem sprawcę użycia noża przeciwko uczniowi szkoły muzycznej.

Podejrzan o ten czyn liczy sobie 17 lat. W chwili napadu na Jacka W. przebywał na przepustce z zakładu wychowawczego w Herbach Starych. Podczas zatrzymywania znajdował się w stanie poalkoholowej nieważkości. Policjanci musieli go umieścić w izbie wytrzeźwień.

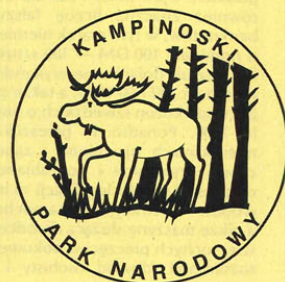
Postępowanie prowadzą policjanci z KRP Łódź-Śródmieście.

E.N.

**GAZETA
policyjna**



Warszawa jest jedyną stolicą w Europie, która ma tuż pod bokiem tak ogromny kompleks leśny. Wystarczy pół godziny dojazdu dobrymi drogami i już mieszkańcy wielkiej aglomeracji mogą odpoczywać w ciszy i zieleni, wśród przyrody niemal takiej, jak przed wiekami.



Puszcza Kampinowska, z której 35 lat temu utworzono Kampinoski Park Narodowy, objęty całkowitą ochroną, zajmuje obszar 35 hektarów. Są tu wydmy i bagna, lasy i łąki, występuje 1200 gatunków roślin, wśród których są takie okazy, jak brzoza czarna czy sosna kandelabrowa i ponad 500 gatunków zwierząt, wśród

Niestety, masowa turystyka niesie coraz większe zagrożenie dla unikatowej przyrody. Nie wszyscy turyści przestrzegają przepisów obowiązujących w parku, również wielu mieszkańców puszczańskich i okolicznych wiosek nieraz traktuje park jak swoją prywatną zagrodę.

★ ★ ★

PŁUCA

nich herbowe zwierzę puszczy, czyli łos, a także bóbr, ryś, orlik, bocian czarny i żuraw.

Jest Puszcza Kampinowska także wielką pamiątką historii narodowej. Liczne tu krzyże, pomniki i groby. W 1863 walczyły tu oddziały powstańców styczniowych, w 1939 tędy przebiegały się do Warszawy oddziały generała Kutrzeby, tu znajdowały schronienie oddziały Armii Krajowej.

Jest wspaniałym miejscem wypoczynku dla tych, którzy lubią przyrodę, dla tych, którzy kochają historię, i dla tych, którzy chcą zwyczajnie odpocząć z daleka od zgiełku. Do dyspozycji turystów jest tu 320 km szlaków znakowanych, 10 pól biwakowych, 15 parkingów samochodowych.

To przed takimi właśnie ludźmi ma chronić puszcę Posterunek Straży Parku. Strażników jest zaledwie 13. Ich uprawnienia są jednak dość szerokie, prawie takie jak policji. Mogą legitymować, zatrzymywać, doprowadzać, a nawet posługiwać się bronią, która wchodzi w skład ich służbowego wyposażenia. Prowadzą też postępowania w sprawach o kradzież drewna i o paserstwo wartości do 5 mln złotych. Strażnicy parku dysponują 3 samochodami terenowymi. Mają też radiostacje samochodowe i nasobne.

Patrolują rejon parku szczególnie w okresie nasilenia turystycznego, pilnują, aby przestrzegane były przepisy. Każdy strażnik to nie tylko „zielony policjant”, ale



także przewodnik, informator, a w razie potrzeby także i ratownik. Każdy z nich jest z wykształcenia leśnikiem, zwykle ze sporym stażem pracy na takim właśnie stanowisku. Eugeniusz Ruciński jako leśnik przepracował 35 lat, z czego 27 poświęcił Parkowi Kampinoskiemu, Zbigniew Sobkiewicz jest leśnikiem od lat 18. Prawdziwym rekordzistą jest komendant Postęrunku Straży Puszczy Eugeniusz Gruszczyński. Jest leśnikiem od lat 40, z których dla Kampinoskiego Parku poświęcił ostatnie 15.

Ta praca to nie zawód, to pasja. Bo jak inaczej dałoby się pracować za 3,5 miliona złotych miesięcznego uposażenia?

Zagrożenia, jakim strażnicy mają przeciwdziałać w parku, zależą od pory roku. Latem patrolują głównie tereny zagrożone pożarem, jesienią rejon, w których zbierane są grzyby, zimą tereny łowieckie zagrożone przez kłusowników. Puszcza jest parkiem narodowym i wszystko jest tu objęte ochroną. Nie wolno zbierać kwiatów, jagód, grzybów, ploszyć zwierzyny, nie mówiąc już o polowaniu na nią. Strażnicy żartują, że tak na dobrą sprawę to w puszczy nie wolno zabić rławet komara, bo to też mieszkawiec rezerwatu.

Wiosną najwięcej problemów przysparzają mieszkańcy puszczańskich wiosek, którzy wypalają trawy i pozostałości roślin na polach. Wypalanie, czyli gospodarka żarowa, jest tradycją tutejszych gospodarzy, ale od dawna jest zabroniona ze względu na ogromne niebezpieczeństwo dla puszczy.

Kradzieże drewna z lasu nie są tu problemem na taką skalę, jak w innych rejonach kraju. W ubiegłym roku było 121 takich przypad-

ków, a sprawcy skradli ponad 200 m sześciennych drewna wartego około 60 milionów złotych.

Ostatnimi czasy coraz częściej zdarza się za to, że robiąc wiosenne porządki na własnym podwórku całe pojemniki śmieci gospodarze wywożą do puszczy. W ubiegłym roku strażnicy ukarali mandatami i wnioskami do kolegium 14 osób, ale liczba ta nie odzwierciedla prawdziwej skali problemu.

Jesienią i zimą każdego tygodnia patrolując puszcę strażnicy znajdują kilka pułapek na zwierzynę. Pomysłowość ludzka w tym względzie jest ogromna. Na szczęście strażnicy dobrze znają

las i wiedzą, gdzie szukać owych zatrasków, wnyków, stalowych linek ustawionych zmyślnie w leśnych ostępach. Trzykrotnie udało się im zatrzymać na gorącym uczynku kłusowników z bronią.

Nie ma też roku, żeby przynajmniej kilka razy strażnicy nie uczestniczyli w akcji poszukiwania osób, które zaginęły w puszczy. Robią to zwykle wspólnie z policją lub wojskiem, oni służą za przewodników po puszczańskich ścieżkach. W ubiegłym roku przez dwa dni szukano niepełnosprawnego chłopca z wadą wzroku, który odłączył się od wycieczki i zszedł ze szlaku. Podobnie było z 67-letnią mieszkanką jednej z tu-

mężczyzny. Że jest to ten właśnie miłośnik przyrody, rozpoznano po okularach i aparacie fotograficznym...

„Zieloni policjanci” nie są nastawieni na zabranianie, karcenie i karanie. Lubią turystów i spacerowiczów, są im życzliwi i przyjaźni. Chętnie służą radą i pomocą. To przecież ludziom ma służyć ta puszcza. Ale apelują, aby korzystać z niej tak, żeby mogła się rozwijać i cieszyć nie tylko nas, ale także następne pokolenia. Żeby było jak w tym przysłowiu: „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las...”

ELŻBIETA SITEK
zdj. Paweł Szlachetko



Warszawy



tejszych wiosek, która sama wybrała się na grzyby. Zabłądziła, ściemniło się i nie potrafiła znaleźć drogi do domu. Dopiero następnego dnia odnaleziono ją półżywą ze strachu i zimna na bagnach. Na szczęście była na tyle świadoma, że nie próbowała przejść po nich sama, lecz czekała na pomoc. Bywa i tak, że nie udaje się odnaleźć zaginionego człowieka i puszcza oddaje dopiero jego zwłoki. Tak było z pewnym starszym mężczyzną, miłośnikiem przyrody, który chodził po puszczy z aparatem fotograficznym. W ubiegłym roku, późną jesienią wyszedł i już nie wrócił. Nie odnaleziono go mimo kilku dni intensywnych poszukiwań. Wiosną tego roku odnaleziono szkielet





KTO WYREJESTRUJE ... TEN ŚPI SPOKOJNIE

Jolanta F. nigdy dotąd nie miała do czynienia z policją. Nawet mandatu drogowego w życiu nie zapłaciła. Gdyby nie miała innych wad, można by powiedzieć: „święta”. Jakież więc było jej zaskoczenie, gdy pracując w biurze po południu dostała od córki telefon.

— *Mamusiu, co robić, do drzwi dobijają się policjanci?*
— *Na wszelki wypadek nie otwieraj, kochanie, to może być jakiś przebieganiec — przypomniała sobie, co nieraz słyszała od znajomych i przyjaciół o napadach na mieszkania.*

Kiedy wróciła do domu, okazało się, że to nie był żaden przebieganiec, tylko prawdziwy policjant. Dostarczył (sąsiadom, bo córka posłuchała mamy i „przebieganiec” nie wpuściła) wezwanie do komisariatu na przesłuchanie w charakterze świadka. O przeżytych rozterkach, nie przespanej nocy, gorączkowym grzebaniu w życiorysie nie muszę chyba pisać.

Następnego dnia prawie nieprzytomna ze zdenerwowania stawiała się na umówione spotkanie. Przyjął ją młody, bardzo uprzejmy policjant. Uspokoił, powiedział, że nie ma powodu do zdenerwowania, po czym przeszedł do rzeczy.

— Czy nie skradziono pani w ostatnim czasie tablic rejestracyjnych? — zapytał.

— Ależ skąd — odparła zaskoczona.
— Zresztą najlepiej zjeźdźmy na dół i

sprawdźmy. Samochód zaparkowałam przed komisariatem.

— Nie ma potrzeby — odparł policjant. — Wierzę na słowo. Tylko że takie same tablice (tu wymienił ich numery) znaleziono właśnie przykręcone do kradzionego malucha.

— Ależ to nie moje tablice! — wykrzyknęła Jolanta F. — mój numer jest całkiem inny.

I tak od słowa do słowa okazało się, że policjant mówi o fordzie, który nasza bohaterka sprzedała jakieś pięć lat temu. Sprzedała w autokomisie, umowę kupna-sprzedaży dawno wyrzuciła robiąc któregoś roku porządki przed Wielkanocą. Tymczasem nabywca fordą sprzed 5 lat nie przerejestrował, z sobie tylko wiadomych powodów, samochodu na siebie i tenże pojazd nadal figuruje w centralnej bazie danych policji, współpracującej z centralną bazą danych wydziału komunikacji,

jako własność Jolanty F. Co teraz? A jeśli kierujący fordem anonimowy właściciel spowoduje na przykład wypadek drogowy, skasuje czyjegoś wartego półtora miliarda starych zł mercedesa albo przejedzie człowieka na pasach i ucieknie z miejsca wypadku? Kto będzie odpowiadał?

No właśnie. Z tym pytaniem zwróciłem się do nadkom. Mariusza Wasiaka z Biura Ruchu Drogowego KGP.

— Zaraz, zaraz, ale już na kursie na prawo jazdy uczy się przyszłych kierowców tego, że **zarówno w wypadku kupna, jak i sprzedaży samochodu należy niezwłocznie zgłosić się do odpowiedniego wydziału komunikacji i powiadomić o powyższym** — powiedział nadkom. Wasiak. — Jednak znam życie i wiem, że o ile prawie bez wyjątków stosuje się tę zasadę przy kupnie auta, to w wypadku jego sprzedaży zapomina się o jakichkol-

wiek obowiązkach byłego kierowcy. No i potem zdarzają się takie problemy. Niedawno mojego znajomego wezwano do Straży Miejskiej. Powodem był źle zaparkowany samochód, który pracownicy SM musieli usunąć, bo tamował ruch. Tyle tylko że kierowca wezwany do zapłacenia mandatu i odebrania pojazdu ze specjalnego parkingu stwierdził, iż wspomniane auto sprzedał kilka lat temu. Komu? Oczywiście nie pamięta. Czy zgłaszał to w wydziale komunikacji? A po co?

No właśnie. Czasem dopiero po latach może okazać się „po co”. Kiedy nagle staniemy przed koniecznością udowodnienia czegoś, co nam wydaje się przecież takie oczywiste. Niestety, komputerom zainstalowanym w wydziale komunikacji nie bardzo. One uparcie będą nas „wyrzucać” ze swojej pamięci jako prawowitych właścicieli aż do momentu, gdy ktoś nie naniesie

WE WŁADZY SEKT

ŚWIĘTY INTERES

2

Sekty — słowo kojarzące się wielu ludziom w naszym kraju z odłamami Kościoła katolickiego, których członkowie nie zgadzają się z jego głównymi doktrynami (nie tylko wiary). W rzeczywistości sekty są doskonale prosperującymi „przedsiębiorstwami”, które przynoszą zyski, o jakich inni biznesmeni mogą tylko marzyć. W tym bowiem wypadku jedynym kapitałem potrzebnym do rozkręcenia świętego interesu jest „słowo”.

W Polsce od pewnego czasu o wpis do rejestru związków wyznaniowych stara się Kościół Sjentologiczny. W Stanach Zjednoczonych jest uznawany za najbardziej kontrowersyjny, a zarazem jeden z najbardziej dochodowych kultów. Niejednokrotnie określa się go też mianem „mafii religijnej”.

Sjentologia nie jest typowym ruchem religijnym, ponieważ jej człon-

kowie mogą należeć do różnych wspólnot wyznaniowych. Jej atrakcyjność i magia przyciągania polega na proponowaniu wzięcia udziału w technikach terapeutycznych prowadzących rzekomo do wewnętrznego oczyszczenia.

Kościół Sjentologiczny propaguje wiele technik psychoterapeutycznych, które prowadzone są na płatnych, bardzo drogich kursach. Należący do tego Kościoła zobowiązują się do gło-

szenia nowej wiary, propagowania organizacji kościelnej oraz bezpłatnej pracy w przedsiębiorstwach działających na rzecz sekty.

Podczas niedawnej debaty parlamentu niemieckiego dotyczącej działania sekt jeden z przemawiających posłów wyraził się o Kościele Sjentologicznym, że „panuje w nim system autorytarny, wypaczający osobowość i jest szkodliwy społecznie”.

Pierwszymi w naszym kraju propagatorami nowej idei byli Niemcy członkowie Bawarskiego Kościoła Sjentologii, którzy w 1991 roku we Wrocławiu zorganizowali prelekcję na temat „duchowej natury człowieka”. W efekcie w mieście tym powstała pierwsza siedziba Kościoła Sjentologii.

Od tego czasu wyznawcy nowej wiary zorganizowali już wiele prelekcji na terenie Krakowa, Wrocławia i Warszawy. Tych, których uznano za godnych wstąpienia w szeregi tego Kościoła, kształcił się w monachijskim ośrodku oraz w USA.

Od lat sjentologia budzi duże zastrzeżenia opinii światowej. W efekcie jej wyznawcy starają się ukrywać swą prawdziwą działalność przez zakładanie gabinetów odnowy biologicznej czy też organizując kursy terapeutyczne.

Kościół Sjentologii założył w 1971 roku Amerykanin L. Ron Hubbard

(zmarł w 1986 r.). Jest on autorem podstawowego dzieła sjentologii „Diane-tyka, czyli nowoczesna wiedza o życiu psychicznym”. Według guru, aby osiągnąć szczęście, należy pozbyć się „engramów”, czyli „aberracji umysłowych”, które są wynikiem urazów z wczesnego dzieciństwa. W tym celu należy poddać się wymyślonej przez niego technice psychoterapeutycznej, zwanej „przełączką kontrolnym”.

Mimo głoszenia potrzeby powszechnego oczyszczenia się i miłości jedną z podstawowych zasad wpajanych przez guru było wezwanie: „róbcie pieniądze, utrzymujcie ruch w interesie, wykorzystujcie innych ludzi i nie przebiegajcie w środkach”. W efekcie apostołowie sekty za wywołanie od trosk codzienności żądają oddania całego majątku. Uzależnieni psychicznie, którzy przeszli stosowne pranie mózgu, płacą z radością. Ci, którzy nie mają gotówki, podpisują z wielebnymi kontrakty na pracę, której czas opiewa na miliard lat (sic!).

O tym, że działalność Kościoła Sjentologicznego może być groźna dla społeczeństwa, świadczą środki przeznaczone przez amerykański Departament Sprawiedliwości do walki z sektą.

W Europie, np. w 1992 roku we Francji, policja aresztowała 15 członków tego Kościoła za wyłudzenie pieniędzy i zmuszanie do niewolniczej pracy oraz

jakichś zmian. A nikt ich nie naniesie, gdy sami tego nie zgłosimy.

Oczywiście nie zawsze musi się to kończyć wzywaniem na policję czy do Straży Miejskiej. Wystarczy, żeby następny właściciel naszego pojazdu przerejestrował go na siebie, a do komputera dotrze stosowna informacja i pojazd zostanie automatycznie zdjęty z ewidencji bez naszego udziału. Ale jeżeli nie przerejestruje?

Od kilku miesięcy w wydziałach komunikacji w wypadku kupna samochodu używanego stosuje się tak zwane miękkie dowody rejestracyjne. Jest to coś w rodzaju dowodu tymczasowego. Pracownicy wydziału komunikacji sprawdzają, czy pojazd, który ma zostać przerejestrowany, nie został komuś skradziony, czy ma opłacone cło i temu podobne informacje. Gdy wszystko jest w porządku, nowy nabywca pojazdu po miesiącu dostaje prawdziwy dowód. Wszystko fajnie, tylko że jeżeli np. kupił pojazd kradziony, zostanie mu i tak zabrany bez żadnej rekompensaty, więc oczekiwanie na „twardy” dowód nic mu nie daje i przed niczym nie chroni, natomiast sprawa, że przez miesiąc kupionego auta nie może sprzedać, nie może wyjechać nim za granicę i co najgorsze nie może go ubezpieczyć w auto-casco. Niech mu więc w tym czasie ukradną odkupionego od znajomego czy sąsiada mercedesa. Co z tego, że po miesiącu dowiędzie się w urzędzie komunikacji o tym, co już sam wiedział, że pojazd nie jest kradziony, że pochodzi z legalnego źródła itd., skoro przepadł i prawa do odszkodowania nie ma żadnego.

Wróćmy jednak do przypadku Jolanty F. Miała sporo szczęścia. Choć porządkując szuflady przed Wielkanocą wyrzuciła umowę kupna-sprzedaży swojego forda sprzed 5 lat, a w miejscu, gdzie wówczas znajdował się autoko-

mis, któremu powierzyła do sprzedaży swoje auto, jest obecnie porośnięte trawą pole, udało jej się dotrzeć do właściciela tegoż autokomisu (widać posiada spore umiejętności detektywistyczne), a ten, choć wcale nie musiał, przechowywał jeszcze w domu całą dokumentację ze swojej poprzedniej działalności. Odszukał kopię dokumentu kupna-sprzedaży, skserował i wręczył pani Joli. Przy okazji stwierdził, że dzięki temu, iż nie zlikwidował do tej pory dokumentów, wyciągnął ze sporych kłopotów już wielu swoich dawnych klientów. O tym, że zaraz po spotkaniu z byłym właścicielem autokomisu p. Jola czym prędzej pobięła do wydziału komunikacji skreślić się z ewidencji jako właścicielka forda, nie muszę chyba dodawać.

Ale co by było, gdyby miała mniej szczęścia?

Jak poinformował mnie nadkom. Mariusz Wasiak, trzeba by było udowodnić w inny sposób, że samochód zbył się 5 czy 10 lat temu. Są sposoby, świadkowie, sąsiedzi, znajomi, ale zawsze to spory kłopot. Naprawdę dużo prościej na drugi czy trzeci dzień po sprzedaży samochodu wybrać się do wydziału komunikacji w swojej dzielnicy i zgłosić fakt tejże transakcji. Zachodu niewiele, a można oszczędzić sobie naprawdę sporo nieprzyjemności.

Wielokrotnie pisaliśmy już na naszych łamach o tym, jak się zachować przy kupnie używanego auta, co robić, by nie paść ofiarą oszustów, złodziei i innych hochsztaplerów. Ale o tym, co trzeba zrobić, gdy sami sprzedajemy swój pojazd, nie informowaliśmy jeszcze naszych Czytelników. Może właśnie dlatego przypadki niewyrejestrowania sprzedawanych pojazdów są nagminne?

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

uprawiania nierządu. Węgry w ustawie z 1993 roku uznali sektę za destrukcyjną, a jej działalność została zakazana. Miało to miejsce po tym, jak wyszło na jaw, że młodzi Węgrzy byli zwabiani do USA pod pozorem nauki języka, zamykani w obozie pod Los Angeles, gdzie robiono z nich niewolników.

Jak wynika z informacji policji zachodnich, sekta prowadzi totalną wojnę ze wszystkimi, którzy są jej wrogami. Wobec przeciwników nierzadko posuwa się wręcz do przemocy fizycznej. Ludzi, którzy choćby pobieżnie wykazali jakieś zainteresowanie ideami sekty, zasypuje się dziesiątkami nabożnych listów i propozycjami spotkań. Złowionych w sieć wiary nowicjuszy zachęca się do porzucenia rodzin. Ucieczka nastolatków zawsze odbywa się w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółmi. Jeżeli uprowadzoną osobą zbyt długo interesuje się policja, zostaje ona przetrzecona do domów misyjnych „Rodzin” poza granicami kraju.

Konwertyta, który zostanie przyjęty do sekty, składa deklarację całkowitego zerwania wszelkich więzi z rodziną, znajomymi i przyjaciółmi. Od tej pory realizuje tylko regułę całkowitego posłuszeństwa. Nie może myśleć, lecz słuchać i wykonywać polecenia. W wyznaczonych przez liderów małżeń-

stwach rodzą się dzieci, które następnie odbierane są rodzicom już w drugim roku życia.

Odalenie osoby uprowadzonej przez sektę jest praktycznie niemożliwe, gdyż „Rodzina” stosuje zasadę zmiany nazwiska i imienia, przerzucania jej do różnych ośrodków sekty, tłumacząc to praktyką przyjętą w stowarzyszeniach zakonnych.

W Polsce działa już oficjalny przedstawiciel Kościoła Scjentologii — Pasterz, władający grupą 150 wiernych. W chwili obecnej w kraju istnieją dwa ośrodki grupy: w Karpaczu (woj. jeleniogórskie) oraz w Piasecznie koło Warszawy.

Jeszcze raz należy podkreślić, że „Rodzina” władana przez Pasterza jest odłamek międzynarodowej organizacji, wobec której w wielu krajach prowadzone jest postępowanie karne, a w kilku istnieje zakaz jej działalności. Na przykład policja Francji i Argentyny oskarża Kościół o porwania i przetrzymywanie dzieci, molestowanie i seksualne wykorzystywanie nieletnich, propagowanie stosunków kazirodnych, dyskryminację rasową i wyznaniową oraz produkcję filmów pornograficznych, często z udziałem dzieci.

(cdn.)

ANDRZEJ DERSKI

PROSTO Z D[®] OGI

POLICYJNY MEETING

W Toruniu zakończył się 49. Międzynarodowy Motorowy Zlot Policji, w którym wzięły udział 862 osoby z 15 krajów. Najwięcej policjantów przyjechało z Niemiec — 477, ponad stu z Austrii, po kilkunastu ze Szwajcarii, Rosji i „aż” czterech z Polski.

Gwiazdzone złoty stróżów porządku są imprezą bardzo popularną na Zachodzie. Mają charakter przyjacielskich spotkań ludzi jednej profesji, których łączy dodatkowo wspólne zainteresowanie motoryzacją. Przyjeżdżają na nie w ramach swoich urlopów, ale — za zgodą przełożonych — służbowymi radiowozami. Są doskonałą okazją do zawierania kontaktów z kolegami po fachu, poznania warunków pracy policjantów w różnych krajach.

Nieimiłym zgrzytem tegorocznego zlotu była kradzież austriackiemu policjantowi 2-letniego mercedesa 250 ED. Jego właściciel, wbrew zaleceniom organizatorów, nie odprowadził auta na specjalnie przygotowany strzeżony parking. Samochód, wartości ok. 1 mld starych złotych, odjechał w nieznane.

TIRY NA PARKING?

Stan naszych dróg jest — jak każdy widzi — fatalny. Słabej jakości nawierzchnie ulegają znacznym deformacjom pod wpływem wysokich temperatur i bardzo ciężkich, kilkunastotonowych ciężarów. Tylko w ubiegłym roku podczas letnich upałów służby drogowe obliczyły w asfaltowej nawierzchni ok. 5,5 km kolein, w tym 1,5 km o głębokości 3 cm. Czym takie po-fałdowania na jezdni grożą, wie każdy kierowca.

Dlatego ze zrozumieniem należy potraktować zapowiedź ministra transportu i gospodarki morskiej Bogusława Liberadzkiego o wprowadzeniu zakazu przejazdu ciężarówek po polskich drogach w czasie największych upałów. Zakaz ten obowiązywałby przy temperaturach powyżej 30°C w godzinach od 11 do 22 i dotyczyłby tylko pojazdów o ciężarze całkowitym powyżej 12 ton. Póki co o pomysły min. Liberadzkiego dyskutują specjaliści z różnych resortów, w tym także z MSW.

PRAWO JAZDY W USA

Amerykański kodeks drogowy dosyć rygorystycznie traktuje niedyscyplinowanych kierowców. Dlatego przypadki zatrzymania prawa jazdy nie należą tu do rzadkości. Obligatoryjnie uprawnienia do prowadzenia pojazdów traci się w USA za: spowodowanie wypadku z ofiarami w ludziach, którego przyczyną była lekkomyślna jazda; prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, pod wpływem narkotyku lub kombinacji jednego z drugim; popełnienie poważnego przestępstwa, do którego użyty został pojazd mechaniczny; ucieczkę z miejsca wypadku; złożenie fałszywych zeznań dotyczących zdarzenia drogowego.

Prawo jazdy można w USA stracić okresowo także za: trzy oskarżenia o nieostrożnej, niebezpiecznej jeździe w ciągu 1 roku; brawurową jazdę i „wyścigi” z innymi pojazdami na drodze publicznej; kradzież pojazdu mechanicznego, a nawet za kryminalną napaść seksualną i handel narkotykami.

Z prawem jazdy pożegna się również kierowca, który nie zatrzyma się za autobusem szkolnym, z którego wysiadają dzieci, nie zapłaci 10 mandatów za parkowanie lub dwóch za inne wykroczenia drogowe oraz nie stawi się na egzamin kontrolny bądź też nie zda tego egzaminu.

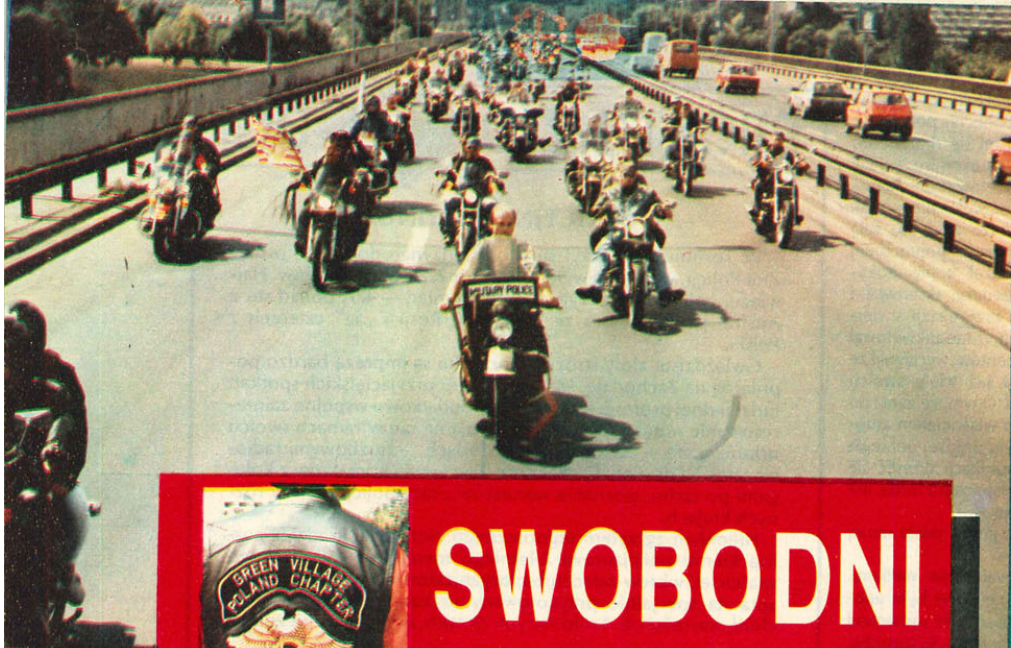
MOTO-RETRO

„Przy wymijaniu z zapalonymi reflektorami pojazdów jadących z przeciwnej strony kierowca jest obowiązany opuścić żarzący snop światła, zmniejszyć jego natężenie lub przełączyć reflektory na latarnie tak, aby światło nie raziło jadących z przeciwnej strony, pozostawiło natomiast drogę dostatecznie oświetloną na przestrzeni 25 metrów przed pojazdem.

Od zmroku do świtu oraz podczas silnej mgły pojazd powinien mieć zapalone dwie latarnie przednie i tylną latarnię czerwoną oraz mieć oświetlone tylne znaki rejestracyjne, a podczas postoju na drodze po zapadnięciu zmroku lub podczas silnej mgły obowiązany jest mieć zapalone co najmniej tylne światła.

Nie wolno używać jako sygnałów ostrzegawczych dzwonków, jako też nie wolno w zabudowanych dzielnicach miast i osiedli używać gwizdawk i sygnałów o silnym przejmującym dźwięku” („Przewodnik automobilowy po Polsce”, W-wa 1930).

JERZY PACIORKOWSKI



SWOBODNI JEŹDŹCY



— *Co to za motor? — pyta jedna z bohaterek filmu „Pulp Fiction”.*

— *To nie motor, to harley — odpowiada jej chłopak.*

Ta scena nieźle oddaje, co czuje właściciel harley-davidsona. Bo też motocykl tej marki jest niczym rolls-royce wśród samochodów, a jazda nim to poczucie pełnej swobody, wolności, fantazji. To nawet coś o wiele ważniejszego — smak i styl życia.

— *Nie jechałeś, nie zrozumiesz — mówią najczęściej harleyowcy. — Przejechałeś się raz, nie będziesz chciał zejść z siodełka.*

ku. Nie zabrakło i samoróbek, np. trójkolowego „Sama” z silnikiem od zaporożca i tylnym zawieszeniem od mercedesa czy „Choppera” z silnikiem od włoskiego fiata 126, a skonstruowanego przez ucznia technikum rolniczego.

Nagroda za najpiękniejszego starego harleya przyznana została Rafałowi Dmochowskiemu, który zajeżdżał na złoty wojskowy harleyem WLA z 1942 roku (najpopularniejszym motocyklem używanym we wszystkich armiach państw koalicji antyhitlerowskiej). Najpiękniejszą nową maszyną został z kolei (roczny) harley Piotra Płochowskiego, generalnie zaś za najpiękniejszy uznany został, wyposażony w mnóstwo rozmaitych bajerów, harley

Andersa Ungta. Wszyscy, nie tylko zdobywcy nagród, bawili się znakomicie. Nie lada atrakcją była parada harleyowców ulicami Warszawy — w asyście policyjnych hond i... z odkrytymi głowami. Jazda z odkrytą głową jest bowiem nieodłączną częścią etosu harleyowskiego. Cóż zrobić, kiedy z drogówki ostro za to gonią — na całym świecie. Stołeczna policja zdobyła więc sobie spore uznanie, zezwalając — w drodze wyjątku — na tego rodzaju przejazd. Zresztą przez cały czas zlotu policjanci byli w jak najlepszej komitywie z harleyowcami. Dostali nawet od nich pamiątkowe upominki.

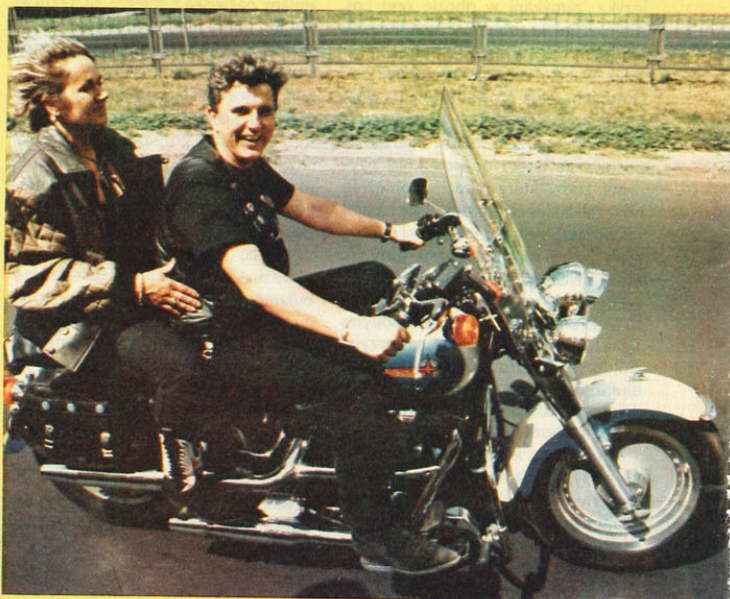
Z ciekawostek można jeszcze dodać, iż na zlocie obowiązywała własna waluta — „orzeł” — wart 10 nowych złotych. Była też własna prasa, gdyż „Express Wieczorny” wydał specjalną wkładkę tematyczną rozdawaną za darmo wśród uczestników zjazdu. Za rok ponowne spotkanie harleyowców, choć jeszcze nie wiadomo gdzie.

PRZEMYSŁAW KACAK
zdjęcia Wiesław Sumiński



Najlepiej zresztą ukazał to Denis Hopper w „Easy Rider” — filmie, który stał się później wręcz kultowym dla właścicieli harley-davidsonów (i nie tylko).

Ponad 300 takich „swobodnych jeźdźców” spotkało się niedawno w Józefinie pod Warszawą. Oprócz Polaków przybyli też goście ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Danii, Holandii, Włoch, Słowacji i Ukrainy. Zlot zorganizował polski Harley Owners Group, czyli Klub Właścicieli Harleya, będący częścią międzynarodowego stowarzyszenia H.O.G. Nie był to pierwszy zjazd harleyowców w Polsce, ale pierwszy tak liczny i mający miejsce w pobliżu stolicy. Dopuszczono też, co zdarza się raczej rzadko, motocykle innych marek. Były więc przedwojenne BMW i sokoły, konkurujące niegdyś z harleyami indyana, znalazła się nawet odremontowana wufemka z 1963 ro-



W numerze 12 „MK 997” w artykule „Złodziej donosi na policję” informowaliśmy, jak Grzegorz G., znany złodziej samochodów, zgłosił w Prokuraturze Wojewódzkiej w Katowicach zawiadomienie o przestępstwach popełnianych przez funkcjonariuszy z KRP w Olkuszu oraz z katowickiej KWP. Obiecaliśmy wrócić do tematu, co czynimy niniejszym, gdyż sprawa znalazła swój epilog w postaci sformułowania aktów oskarżenia.

Rzecznik naczelny prokuratury epatował odbiorców: „Niebezpieczny kumpel”, „Autogielda w komendzie”, „Czystka w Olkuszu”, „Policjanci i złodzieje”. Z publikacji wynikało, iż w Katowickim zaistniała afery policyjna, równa, jeśli nie większa, poznańskiej.

Grzegorz G., karany członek dużego autogangu, w swych wynurzeniach twierdził, że olkuscy i katowicki policjanci uczestniczyli w machinacjach skradzionymi, a następnie odzyskanymi autami, przekazując je w nieodpłatne użytkowanie osobom „mającym dojsia”.

Cała historia rozpoczęła się na dobrej sprawie przed trzema laty, kiedy KRP w Olkuszu prowadziła postępowanie przygotowawcze w sprawie przestępstw samochodowych przeciwko zorganizowanej grupie działającej w kilku województwach. Jednym z podejrzanych był Grzegorz G. vel „Johnny”, vel „Pedro”. Od listopada 1992 roku pod nazwiskiem Etlinger ukrywał się w Niemczech, a kiedy wrócił, w maju 1994, został tymczasowo aresztowany. Śledztwo należało do kategorii rozwojowych. Komendant wojewódzkiej policji w Katowicach powołał grupę operacyjno-dochodzeniową złożoną z funkcjonariuszy KRP w Olkuszu i KWP w Katowicach. W 1994 roku nadzór nad postępowaniem przejęła Prokuratura Wojewódzka. W ramach czynno-

Śladem naszych artykułów

ZŁODZIEJ DONOSI NA POLICJĘ

ści policyjnych odzyskano 80 skradzionych aut, zwłaszcza renomowanych marek.

Grzegorz G. występował zarówno w opisywanej sprawie, jak również w innych, prowadzonych wyłącznie przez KRP. W pewnej rozmowie z prokuratorem powiedział, że w zamian za obietnicę rezygnacji z „sankcji” przekazał informacje dotyczące przestępczej działalności policjantów z Olkusza, a zwłaszcza ówczesnego zastępcy komendanta. Sformułowane przez niego zarzuty zaraz sprawdzono. Wszczęto postępowanie wyjaśniające, nadkomisarza Zenona K. zawieszono w czynnościach, po czym po roku, wskutek nieukończenia śledztwa, zgodnie z zapisem regulaminu dyscyplinarnego, przywrócono do służby.

Zdaniem Grzegorza G., komendant, po dokonaniu przez jego podwładnych „rewizji” w domu jednego z członków gangu samochodowego, załatwił zebrane informacje. Nie zalegali zwołał również przeszukania. Dokumenty przeleżały w komendzie nie trafiając do prokuratury. Inni natomiast policjanci przekazywali skradzione i odzyskane samochody swoim krewniakom i znajomym. G., który w gangu trudnił się ponoć legalizacją skradzionych samochodów i kontaktami z policją, utrzymywał, iż niektórych klientów podsuwali przestępcom sami funkcjonariusze. Wybierali markę i kolor. Gang prosperował znakomicie właśnie dzięki opiece policjantów. To oni, za odpowiednią prowizją, pomagali w ukrywaniu łupów, ostrzegali o planowanych przeszukaniach, rozpracowywaniu operacyjnych, zatrzymywali. Za wydanie fikcyjnego orzeczenia, iż auto nie jest kradzione i nie fi-

guruje w policyjnych rejestrach, brali od złodziei po 300... 800 dolarów. Tak miał postępować Marcin S. z KRP w S. Zbigniew S., policjant z tejże jednostki, wedle słów G. konwojował skradzione auta, zarabiając od sztuki 50... 100 dolarów. Mocodawcami opryszków byli również asp. Andrzej P. oraz nadkomisarz Marek L. z Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KWP w Katowicach, załatwiający im zwolnienie w razie wpadki. G. wymieniał także Eugeniusza K. zwanego „Edziem” z KRP w B. w sąsiednim województwie.

Pomówienia Grzegorza G. okazały się mało warte. Sąd skazał go na karę pozbawienia wolności. Wkrótce G. amputowano nogę, kontuzjowaną podczas wypadku samochodowego, a komisja lekarska wydała werdykt, iż leczenie może on odbywać jedynie na wolności. Wypuszczono G. z krakowskiego więzienia, wyznaczając 50-milionową kaucję. Chętni się wobec dziennikarzy, że do dziś jej nie zapłacił.

Po wyjściu z więzienia Grzegorz G. ponowił donosy na policję. W zamian żądał bezkarności dla siebie i wypuszczenia brata na wolność. Domagał się gwarancji w postaci „żelaznego listu”. Docierając do dziennikarzy sprzedawał im owe rewelacje, nie kryjąc chęci zysku. Rozsiewał wokół siebie atmosferę strachu. Opowiadał, iż na osiedlu, gdzie mieszkał, pojawiali się tajemnicze samochody. Rodzina musiała się ukrywać. Szczególnie łapczywie podjęła temat redaktorka „Expressu Wieczornego”. — Zwykły czytelnik czytając jej doniesienia nie mógł nie wierzyć w fakty szkalujące policję — mówi podinspektor Janusz Olszewski, zastępca komendanta wojewódz-

kiej Policji. — Wynikało z nich, jakoby dziennikarka sama wytropiła aferę, o której nikt nie wiedział. Wskazywała także na komendę w Bielsku-Białej.

W tej sytuacji Prokuratura Wojewódzka wszczęła ponownie sprawę śledztwa, zwracając się do ministra Andrzeja Milczanowskiego o udostępnienie akt operacyjnych. Tak się stało. Zarzutami dotyczącymi popełniania uchybień proceduralnych, w szczególności niedotrzymywania terminów procesowych, objęto 4 policjantów. W lipcu śledztwo ukończono. Zastępcy komendanta rejonowego w Olkuszu, który zwolnił się ze służby w Policji, przedstawiono akt oskarżenia za utrudnianie prowadzenia postępowania przygotowawczego. Inne wątki oskarżenia nie potwierdziły się. Prokuratura wojewódzka umorzyła postępowanie w owym zakresie.

Grzegorz G. nie przedstawił żadnych wiarygodnych dokumentów potwierdzających — mimo odgrążania się, że dysponuje zdjęciami policjantów uczestniczących w nielegalnym procesie, nagraniami prowadzonych z nimi pertraktacji oraz kopiami 400 (!) faktur legalizujących kradzione wozy. Pokazywał jedynie urzędowe postanowienia, chętnie publikowane przez prasę, jakie normalnie każdy podejrany otrzymuje w trakcie postępowania przygotowawczego. Przygotowywany obecnie kolejny akt oskarżenia obejmuje Grzegorza G. i jego brata. Zarzuca im pasterstwo skradzionymi samochodami. — Przekazywane przez niego rewelacje — powiedział dziennikarzem Tomasz Szalek, zastępca szefa Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach — służyły dyskredytacji i szantażowaniu policjantów oraz były próbą uniknięcia odpowiedzialności.

ADAM K. PODGÓRSKI

Była gorąca letnia noc. Na terenie ogródków działkowych w Suchym Lesie pod Poznaniem odbywała się zakrapiana alkoholem impreza. Około północy jej uczestnicy usłyszeli dobiegające od strony szosy odgłosy przypominające wystrzały. Po krótkim wahaniu 50-letni Antoni Ł., wraz z 19-letnim synem Maciejem, wyszedł przed bramę ogródków. Na asfalcie leżał nieruchomo mężczyzna. Jego koszula była cała we krwi, również w miejscach, w którym leżał, powiększała się ciemna plama. Sto metrów dalej stał pusty polonez caro z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Z oznakowania wynikało, iż jest to taksówka. Działkowicze wezwali pogotowie i policję.

Lekarz podjął reanimację ciężko rannego mężczyzny. Niestety, pomimo intensywnych wysiłków, aby utrzymać go przy życiu, zmarł on po półgodzinie. Przyczyną śmierci było siedem ran powstałych w wyniku postrzału. Zabitym okazał się 43-letni Mirosław B., poznański taksówkarz. W jego samochodzie zabezpieczono 7 łusek

pochodzących z pistoletu o kalibrze 6,35 mm. Ustalono, że morderca siedział za plecami swojej ofiary i strzelał przez oparcie fotela. Z taksówki zabrał pieniądze oraz dokumenty.

Działania operacyjne podjęli funkcjonariusze Komendy Rejonowej Policji Poznań-Stare Miasto. Ze wstępnych ustaleń wynikało, iż Mirosław B. był taksówkarzem z wieloletnim doświadczeniem, znanym z ostrożności. Miał Radio CB oraz dodatkowe lustro do obserwacji pasażera. Jeździł głównie w porze wieczorowo-nocnej, a korzystał zwykle z postoju przy Dworcu Głównym PKP. Był lubiany w środowisku poznańskich taksówkarzy. Z zeznań świadków wynikało, że do jego „taryfy” stojącej właśnie na dworcowym postoju wsiadł krytycznej nocy, około godziny dwudziestej trzeciej, młody człowiek. Pasażer ten wybrał taksówkę właśnie Mirosława B., chociaż znajdowała się ona w środku kolejki. Potem nikt już nie widział żywego 43-letniego taksówkarza.

Po miesiącu intensywnych czynności w hali Dworca Głównego funkcjonariusze zatrzymali Adama F., lat 24, kieszonkowca. Zebrane ustalenia wskazywały na niego właśnie jako na sprawcę zbrodni. Podał alibi na krytyczną noc, ale zostało ono obalone.

— Czego się mnie czepiacie, zawsze chciałem zostać policjantem — powiedział w pewnej chwili przesłuchiwany. Przysnął się w końcu do zabójstwa Mirosława B. i opisał przebieg wypadku.

Według jego wyjaśnień taksówkę pana B. wybrał przypadkiem. Wsiadł do niej z pistoletem w kieszeni. Nabył go nielegalnie na jednym z poznańskich bazarów. Kazał kierowcy wieść się po nocnych lokalach w poszukiwaniu „klienteli”. Jego specjalnością były bogate starsze panie. Jeździli do restauracji do restauracji, ale w żadnej z nich Adam F. nie wypatrzył interesującej go osoby. I wówczas Mirosław B. zaproponował mu rzekomo kurs do lokalu w gminie Suchy Las, gdzie miał

odbywać się dancing. W trakcie jazdy doszło do kłótni, dotyczyła ona wysokości rachunku. Zdaniem pasażera, był on zbyt wygórowany. Kłótnia przerodziła się we wzajemne obelgi i wyzwiska. W pewnej chwili kierowca zatrzymał samochód (mijali właśnie bramę ogródków działkowych) i powiedział:

— Płać mi tu zaraz, a potem won z samochodu!

I wtedy Adam F. wydobyl pistolet... Po wpakowaniu siedmiu kul w plecy Mirosława B. wypchnął go na jezdnię, a następnie próbował odjechać. Ale po stu metrach polonez caro zbuntował się. Jak się później okazało, miał wmontowane specjalne zabezpieczenie znane tylko właścicielowi. Zabrał więc pieniądze i dokumenty, po czym ruszył na piechotę w kierunku drogi głównej, przy której udało mu się zatrzymać taksówkę. Wrócił nią do Poznania.

Schwyatanie sprawcy było możliwe dzięki bardzo realistycznemu i niezwykle dokładnemu portretowi pamięciowemu sporządzonemu na podstawie zebranych informacji przez plastyka z Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Poznaniu, „pana Grzegorza”.

PIOTR KITRASIEWICZ

KURS ZA SIEDEM STRZAŁÓW





BRON SIĘ SAM



Gdy w 1984 r. w policyjnej akcji ujawniono narkotyki i inne środki odurzające u 25 tysięcy uczniów nowojorskich szkół podstawowych, fakt ten był zaskoczeniem dla rodziców, nauczycieli i samej policji. Stało się jasne, że obowiązujący w prawie stanowym zakaz posiadania narkotyków jest omijany przez rzeszę młodzieży. Trzeba było zastanowić się nad skuteczniejszą w tym środowisku metodą zapobiegania narkomanii.

Tak powstał Szkolny Program Edukacji i Kontroli Narkomanii realizowany w 29 szkołach publicznych Nowego Jorku wyłącznie przez specjalnie przygotowanych oficerów policji. Od 1985 r. objął on ponad 6 mln dzieci i młodzieży. Zajęcia trwają 16 tygodni, po dwie godziny lekcyjne tygodniowo.

Do głównych zadań programu należą: wzmocnienie psychiki dziecka, kształcenie

samokontroli, zdolności powstrzymywania się przed sięgnięciem po narkotyk. Jedną z metod edukacji są zajęcia symulacyjne. Rodzice lub nauczyciele odgrywają w nich role handlarzy narkotykami, a dziecko musi umieć się przed nimi obronić. Jest to zgodne z podstawowym celem zajęć, ujętym w hasło: broń się sam!

Drugi cel, poznawczy, polega na dostarczeniu uczniom niezbędnej wiedzy o narkotykach i konsekwencjach ich

przyjmowania. Prowadzący zajęcia oficerowie policji są wyposażeni w walizki z próbkami różnych narkotyków i środków psychotropowych. Jako źródło śmierci wyeksponowana jest strzykawka. Dzieci mają zapamiętać, że nie wolno jej dotykać ani brać do ręki.

Trzeci cel, wychowawczy, osiągany jest w dialogu między policjantami a uczniami na trudne tematy. Wykładowcy występują zawsze w mundurach policyjnych, by młodzież nie miała blokady psychicznej przed mundurem, by chciała i umiała zwrócić się do policji ze swoimi problemami.

Posel Marek Lewandowski, który zapoznał się z tym programem podczas swojego mie-

sięcznego pobytu z grupą posłów w Stanach Zjednoczonych, podkreśla, że cel ten jest zgodny z powszechnym myśleniem Amerykanów o potrzebie uzyskiwania akceptacji społecznej przez osoby publiczne. Do takich osób należą niewątpliwie policjanci, stąd ich troska o przyjazne otoczenie, o kontakty z różnymi środowiskami. Nie tylko politycy, ale i policjanci amerykańscy starają się postępować zgodnie z zasadą, że można robić tylko tyle, na ile istnieje społeczne przyzwolenie.

Realizując w szkołach Nowego Jorku program zapobiegania narkomanii policjanci wypróbują i upowszechniają nowe metody ograniczania

POLICJE ŚWIATA

FRANCJA

CZŁOWIEK BEZ TWARZY OSKARŻA...

Od pięciu lat próbuje dowieść swoich racji człowiek bez twarzy. Jest nim trzydziestosześcioletni Daniel Benoliel. W ciągu tych pięciu lat przeszedł on 30 operacji, których celem było usunięcie obrażeń, jakich doznał po użyciu środka owadobójczego.

Chciał zniszczyć mrówki, które zauważył na parterze swego jednopiętrowego domu w Vineil-Saint-Firmin (Francja). Użył popularnego, sprzedawanego w wielu magazynach środka w aerozolu o nazwie „Neocide”. Spryskał nim w pokoju szlak, po którym wędrowały uporczywe mrówki. Następnie wypił kawę w kuchni i wszedł na piętro, gdzie zapalił papierosa. Ostatnim wydarzeniem tego dnia, które zapamiętał, był oślepiający błysk na suficie i potworny, obezwładniający ból.

O tym, co było później, opowiada mieszkający w pobliżu przyjaciół Daniel Caro, który przybiegł na pomoc, gdyż usłyszał potężny wybuch. Tym, na co zwrócił uwagę wbiegając do domu przyjaciela, był panujący tu żar i kłębiący się gęsty dym. Z trudem

dostrzegł w nim, a raczej usłyszał, jęczącego Denisa Benoliela. Wyciągnął go na zewnątrz, zerwał tłaczę się na nim sweter i sprowadził pomoc lekarską. Wnętrze domu przyjaciela przypominało pogorzeliśko.

Potwierdził to przybyły nazi jutrz na miejsce zdarzenia oficer żandarmerii, który odnotował w protokole, że w zrujnowanym wnętrzu, gdzie pozostały szczątki spalonych sprzętów, było nadal bardzo gorąco.

Wydarzenie to stało się nie tylko przyczyną tragedii osobistej poszkodowanego Denisa Benoliela, ale odbiło się głośnym echem na rynku francuskim, na którym królowały dotąd środki owadobójcze w aerozolu, traktowane jako całkowicie bezpieczne. Za taki uznawano produkowany przez mię-

dzynarodowy koncern SA Reckitt et Colman — France, zawierający butan i propan „Neocide”. Tej właśnie firmie wytoczył, trwający od pięciu lat, proces pozbawiony twarzy Denis. Odmówił on przyjęcia proponowanego mu w zamian za wycofanie skargi odszkodowania w wysokości ponad pięciu milionów franków. Nie usatysfakcjonowała go również kara więzienia w zawieszeniu, jaką sąd wymierzył szefowi firmy Reckitt et Colman we Francji.

Benoliel postanowił walczyć do skutku o całkowity zakaz sprzedaży tego typu produktów. Wie, że walka, którą toczy, jest nierówna. On, skromny obywatel, ma przeciwko sobie potężną grupę finansistów, producentów i handlowców. Osiągnął jednak to, że od trzech lat prowadzone są we Francji badania laboratoryjne nad nowym produktem, gwarantującym całkowite bezpieczeństwo użytkownikom, który być może ukaże się na rynku wiosną przyszłego roku.



Zet



tego zjawiska. To jest czwarty cel zajęć. Przewodnik metodyczny opracowali nauczyciele. Każdy uczeń otrzymuje 3 teczki doskonale przygotowanych materiałów. Znajdują się w nich książeczki do kolorowania, rebusy, krzyżówki, gry logiczne i łamigłówki, do tego przybory do pisania, linijki, kalendarzyki, proporczyki, nalepki. W każdym zadaniu chodzi o zwycięstwo z pokusą sięgnięcia po narkotyki.

Środki na realizację tego programu pochodzą nie tylko

z budżetu oświaty, ale i z policji. Nie są to pieniądze zmarnowane. Policja zdecydowała się wziąć udział w programie, gdy okazało się, że w dziedzinie znajomości problemów związanych z narkomanią policjant jest dla młodzieży szkół nowojorskich niekwestionowanym autorytetem. Po 10 latach prowadzenia zajęć w ramach Szkolnego Programu Edukacji i Kontroli Narkomanii ten autorytet na pewno się umocnił.

H. Ś.

RANDKA W CIEMNO ŚMIERTELNĄ PUŁAPKĄ

Trzydziestczteroletni mieszkaniec Paryża Thierry A. — mówiąc trywialnie — lubił chłopców. Szczególnych emocji dostarczały mu organizowane ad hoc spotkania z partnerami na jeden wieczór.

Pewnego grudniowego wieczoru został zamordowany we własnym mieszkaniu, do którego sprowadzał przygodnie poznawanych młodych ludzi. Był nagi. Zmasakrowaną twarz miał zawiniętą torbą plastikową. Zniknął bez śladu zaparkowany przed domem samochód ofiary. Zniknął również sprawca okrutnego morderstwa.

Wcześniej, bo w październiku ubiegłego roku, w podobnych okolicznościach poniósł śmierć Thierry B. Zabójcą okazał się umówiony telefonicznie na intymne spotkanie Nicolas C. Skradł on zamordowanemu kartę kredytową i inne dokumenty, w które wkleił własne zdjęcia, i jeszcze w dniu morderstwa usiłował je wykorzystać, próbując zakupić w specjalistycznym sklepie kosztowną aparaturę radiofoniczną. Spostrzegawczy sprzedawca zauważył fałszerstwo w dokumentach i zawiadomił policję. Tej udało się ustalić tożsamość zabójcy, zebrać dowody

przestępstwa i doprowadzić do procesu, który odbędzie się w listopadzie.

W ubiegłym roku brygada kryminalna policji paryskiej zarejestrowała aż 14 zabójstw, których ofiarami byli homoseksualiści. Ustalanie sprawców jest tu niesłychanie trudne, gdyż spotkania te odbywają się z reguły bez świadków, umawiane są często telefonicznie, z zachowaniem pełnej anonimowości partnerów. Wykorzystując to profesjonalni przestępcy, którym umówienie się na spotkanie stwarza doskonałą okazję do dokonania brutalnej napadzi i obrabowania zaskoczonej ofiary. Na takie niebezpieczeństwo narażone są również prostytutki, które systematycznie odpłacają haracz przestępcom i też padają ofiarą bestialskiej agresji.

Tu także policja jest bezradna, gdyż poszkodowane nie wnoszą skarg, które stanowiłyby podstawę do interwencji.

Zet.

● MAFIJNE ZYSKI

Zorganizowana przestępczość obraca rocznie dochodami rządu ponad biliona dolarów poprzez swoje międzynarodowe organizacje, które potrafiły wykorzystać politykę zniesienia barier gospodarczo-finansowych. Połowa z tych dochodów pochodzi z handlu narkotykami. Takie są przypuszczenia wysuwane przed IX Kongresem ONZ na temat profilaktyki wobec przestępczości zorganizowanej.

● PROCES BANDY KRYMINALNO- -POLICYJNEJ

W Lyonie toczy się rozprawa przeciwko dwudziestoosobowej bandzie, w składzie której znalazło się również pięciu skorumpowanych francuskich policjantów. W akcie oskarżenia prokurator zarzuca im trzy zabójstwa oraz 75 kradzieży z bronią w rękę, dokonane w latach 1985—1990. Ta groźna i dobrze zorganizowana banda przestępców kierowana była przez sądzonych policjantów.

● PROKURATOR ZASTRZELONY W MEKSYKU

Leobardo Larios, były meksykański prokurator, który nadzorował śledztwo w sprawie zabójstwa kardynała Juana Posadosa, zamordowanego w 1993 roku, został kilka tygodni temu zastrzelony w pobliżu swego domu w Guadalajarze przez czterech uzbrojonych napastników, którym po zbrodni udało się zbiec.

● KARY ZA NIEPRZESTRZEGANIE ISLAMSKICH PRZEPISÓW

Sto dwadzieścia sklepów w kilku dzielnicach Teheranu decyzją miejscowych władz policyjnych zostało ostatnio zamkniętych za „nieprzestrzeganie przepisów i zwyczajów islamskich”, doniósł

W zakładzie karnym hrabstwa Limestone w stanie Alabama podczas porannych spacerów więźniowie mają nogi splecione stalowymi łańcuchami. Nawet w tym południowym stanie Ameryki nie widziano tego od pół wieku. System utrudniania ucieczki chwali sobie natomiast strażnicy.



teherański dziennik „Kayhan”. Kilka dni wcześniej w Teheranie policja aresztowała dziesiątki kobiet za zbyt jaskrawy makijaż lub zaniechanie noszenia ubioru islamskiego.

● 20 LAT WIEZIENIA ZA UPROWADZENIE SAMOLOTU

Dwóch algierskich policjantów, którzy 28 lutego 1994 roku uprowadzili Boeing 727 algierskich linii lotniczych z 127 pasażerami do Alicante w Hiszpanii, sąd prowincji Alicante skazał na karę po dwadzieścia lat pozbawienia wolności.

● OD BRUTALNOŚCI DO KORUPCJI

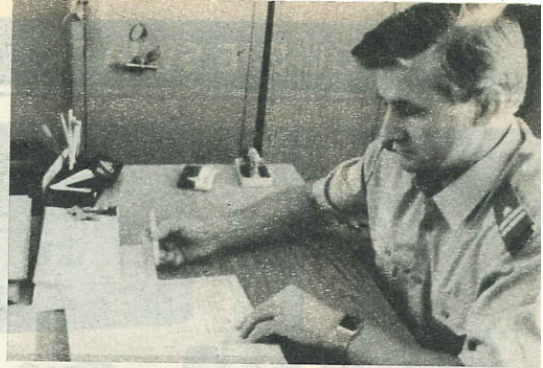
Szesnaście policjantów z jednego z nowojorskich komisariatów policji dzielnicy Bronx aresztowano jako podejrzanych o korupcję, kradzieże, bezprawne używanie siły oraz fałszywe zeznania. Siedmiu innym grozi wydalenie ze służby za bierność i zatajenie czynów przestępczych ze strony skorumpowanych kolegów.

Tylko w kwietniu br. wpłynęły 543 skargi na brutalne postępowanie policjantów — stwierdził szef nowojorskiej policji komisarz William Bratton. Skorumpowani policjanci przywłaszczali sobie narkotyki odbierane handlarzom, które sami później sprzedawali narkomanom.

oprac. MARIAN OWCZAREK



PO
SEZONIE



cię tego, co wydarzyło się w tych dwóch najgorszych dla nas miesiącach.

— Nie, my nie zapadamy w sen po wakacjach — mówi komendant Komisarjatu Policji we Władysławowie kom. Stefan Klein. — Pomijam już fakt, że do sezonu przygotowujemy się od połowy maja. Już wówczas zjeżdżają się pierwsi organizatorzy letniego wypoczynku, w ośrodkach za-

Ale przecież niech nikt nie myśli, że przestępczość, np. w rejonie Władysławowa, zaczyna się w czerwcu i kończy 31 sierpnia. Absolutna bzdura. Przestępcy, miejscowi i ci przyjezdni z nie tak bardzo przecież odległego Trójmiasta, działają równo przez okrągły rok. W rejonie tym mieszka 15 tysięcy stałych mieszkańców (w sezonie ponad 120 tysięcy jednorazo-

Powakacyjny odpoczynek???

Wyjechali! Nareszcie! Co za ulga! 120 tysięcy ludzi zabrało swoje bagaże, samochody lub wsiadło do pociągu i odjechało. Czy ktoś po nich tęskni? Na pewno nie policjanci.

Miesiące wakacyjne w takim rejonie jak np. Puck, Władysławowo, Jastarnia, Hel to prawdziwy obłęd. Policjanci zapominają nawet, jak się nazywają. Po pracy slaniają się na nogach, mają wszystkich serdecznie dosyć: słońca, zgiełku roznegliżowanych turystów, ulicznych korków, kolejek w sklepach i wszystkiego tego, czego nie ma tu przez pozostałe 10 miesięcy w roku.

Zaczął się wrzesień, październik. Teraz pewnie, jak myślę, oni idą na urlopy, może gdzieś wyjeżdżają albo zaszywiają się w

domowych pieleszach i odspiają zarwane noce, regenerują siły na następny sezon. Okazuje się, że nic z tych rzeczy!

— Co robimy po sezonie? — powtarza moje pytanie komendant rejonowy w Pucku nadkom. Gerard Bronk. — Przez co najmniej dwa najbliższe miesiące zajmujemy się „obróbką” procesową tego, co zostało po sezonie. Przecież to są setki nie wykrytych lub nie dokończonych proceduralnie spraw. W ub. r. zanotowaliśmy 1800 przestępstw, z tego 500 wydarzyło się w lipcu i sierpniu. To właśnie wrzesień, październik są miesiącami na realiza-

czyna robić się gwarno, trwają remonty i przygotowania na przyjęcie tej prawdziwej nawałnicy, która zaczyna się praktycznie już od początku czerwca.

O tym, co dzieje się w lipcu i sierpniu, może lepiej teraz już nie pisać, zwłaszcza że skończyły się wakacje. To po prostu jeden wielki obłęd, szaleństwo i paranoja. Ale kiedy przychodzi wrzesień, nie ma nawet mowy o odpoczynku czy urlopach dla niewielu przepracowanych policjantów. Wtedy dopiero powoli zaczynają ogarniać to, co się stało, wydarzenia z tych dwóch miesięcy są analizowane i oddawane do prokuratury. Terminy procesowe gonią, więc trudno powiedzieć, czy wrzesień nie jest jeszcze bardziej pracowitym miesiącem niż lipiec i sierpień. Na pewno jeśli chodzi o realizację spraw, o prace za biurkiem, przerasta zdecydowanie okres urlopowy natłokiem wykonywanej roboty.

wo, a przecież wciąż trwa rotacja, jedni wyjeżdżają, inni przyjeżdżają i problemów nie brak. Niektórzy miejscowi dobrze już znają specyfikę pracy tutejszych policjantów i często, kiedy przychodzą w lipcu lub sierpniu zgłosić np. jakiś targ z sąsiadem, widząc, co się dzieje, stwierdzają, że na razie wycufują skargę. Przyjdą we wrześniu.

Pracuje tu zaledwie 11 policjantów łącznie z komendantem, który spełnia jeszcze rolę swojej własnej sekretarki, dyżurnego i dyspozytora. Teren jest bardzo rozległy, od słynnych Chłup po Chłapowo, Jastrzębą Górę, Ostrowo, Karwie, w związku z czym wystawianie patroli pieszych jest praktycznie bezsensowne. Jeden radiowóz wszystkich naraz nie obsłuży. O wyznaczeniu stałych dyżurnych także nie ma mowy. Tu wszyscy muszą umieć robić wszystko. Na kogo wypadnie, na tego być.

Policja w państwach starożytnych



SŁUŻBA W WIEŃCU

W epoce starożytnej Grecja nie stanowiła jednolitego organizmu państwowego, lecz składała się z wielu państw-miast (*polis*), z których dwa największe, Ateny i Sparta, rywalizowały ze sobą o hegemonię i wpływy na Półwyspie Bałkańskim oraz na morzach Egejskim i Jońskim. O ile militarnie Sparta miała przewagę nad Atenami, to pod względem rozwoju struktur cywilizacyjnych, z systemem społeczno-politycznym na czele, nie mówiąc o wysokim poziomie życia intelektualnego, państwo Peryklesa przodkowało zdecydowanie spośród innych *polis*.

Wybitnym prawodawcą ateńskim, którego system na długie wieki określał, co dozwolone, a co karalne na terenie Aten, a później także na terenie innych miast-państw, był żyjący w VII wieku przed naszą erą Drakon. Około 621 roku p.n.e. doprowadził on do kodyfikacji prawa zwyczajowego, głównie karnego. Kodyfikacja ta miała charakter rewolucyjny i była niezwykle potrzebna, gdyż do tego czasu wszelkie spory i konflikty załatwiali Ateń-

czycy we własnym zakresie, zwykle na zasadzie zemsty rodowej, czyli ciągłej się przez kilka pokoleń okrutnej vendetty. Na ogół zwyciężał ten, kto miał liczniejszych krewnych i przyjaciół. Kodeks Drakona w dużym stopniu ograniczył samosady i unormował sprawę zabójstw i innych przestępstw. Wprowadzone przez niego przepisy były, zresztą z duchem ówczesnych czasów, bardzo surowe i nabrały później nawet znaczenia metaforycznego („drakońskie prawo” jako przykład brutalnej i bezwzględnej represyjności). Kodeks karny Drakona wprowadzał karę śmierci nawet za najdrobniejsze kradzieże (np. kradzież jarzyn z bazarowego stoiska), a przyznanie się do winy podejrzanego nie tylko nie stanowiło okoliczności łagodzącej, ale — wprost przeciwnie — przypięczone było winowajcy. Prawo Drakona zawierało jednak elementy bardziej konstruktywne, które przejęte zostały przez późniejsze prawo rzymskie, aby po wiekach stać się podstawą współczesnego prawa karnego. Jednym z takich elementów było ściśle odróżnienie morderstwa od zabójstwa

w obronie koniecznej. W pierwszym przypadku sprawca zostawał szybko i beceremonialnie zabijany, w drugim — puszczany wolno. Jako ponurą ciekawostkę warto zaznaczyć, iż aktualne są do dzisiaj także niektóre z najbardziej barbarzyńskich praw Drakona, o czym świadczy wypowiedź niektórych polskich polityków, a zwłaszcza postulat lidera UPR Janusza Korwina-Mikke na temat karania śmiercią sprawców kradzieży.

Nad przestrzeganiem tych i innych zasad współpółzicia społecznego w ateńskim *polis* czuwała policja. Jej przedstawiciele wylaniany byli z grona sprawujących władzę wykonawczą Rady Pięciuset. Zadania ówczesnej policji greckiej były ściśle podzielone, a ich zakres kompetencji przypisywany do poszczególnych rodzajów służb. I tak astynomowie, w liczbie dziesięciu funkcjonariuszy, pilnowali, aby młode artystki — fletnistki, harfarki i lutnistki — nie wynajmowały się drożej niż za przewidzianą prawem kwotę dwóch drachm. Uważali także, żeby przedsiębiorcy oczyszczania miasta nie składowali nieczystości w obrębie dziesięciu stadiów (czyli niespełna dwóch kilometrów) od murów *polis*. Kontrolowali również domy i ulice. Pilnowali, aby nie zabudowywano ulic oraz nie konstruowano balkonów ponad nimi, a także rynien, z których woda spływałaby na głowy przechodniów. Do zadań astynomów należało także uprzątnięcie z ulic i innych miejsc publicznych ciał zmarłych. Przy tej ostatniej czynności policjantom pomagali niewolnicy będący własnością państwa (spe-

cialny typ niewolnika: niewolnik państwowy).

Policjantami targowymi, również w ilości dziesięciu mężczyzn (o tym, że kobieta mogłaby zostać policjantką, nikomu wówczas nawet się nie śniło), byli *agoranomowie*. Czuwali oni nad zgodnym z zasadami higieny stanem żywności sprzedawanej na bazarach i targowiskach. Sprawdzali także, czy żywność nie została sfałszowana. Pokrewny rodzaj służby mieli policjanci wag, czyli *metronomowie*. Doglądali oni wszelkich przedmiotów służących do ważenia i mierzenia, a używanych w celach handlowych.

Dziesięciu *epimeletów* składało się na policję portową działającą na terenie wchodzącego w skład ateńskiego *polis* portu Pireus. Pilnowali oni portowych spichlerzy oraz respektowania przepisu mówiącego, iż wpływający do Pireusu kupcy mają obowiązek dostarczania dwóch trzecich przywiezionego zboża dla ogólnodostępnego rynku miejskiego. A jeśli mowa o zbożu... Najliczniejszą formacją policyjną stanowiła policja zbożowa (*sytofylakowie*). Funkcjonariuszy tych było 35, dwudziestu z nich sprawowało służbę w samych Atenach, a piętnastu w Pireusie. Kontrolowali oni kupców, czy sprzedają zboże po właściwej cenie, młynarzy, czy sprzedają mąkę odpowiednio do ceny jęczmienia, a także piekarzy (w tym ostatnim przypadku chodziło o relację ceny chleba do ceny pszenicy).

Najbardziej ponure i niewiedzące zadania wykonywała grupa 11 policjantów, zwana komisją jedenastu lub je-

O urlopach, a nawet chorobach, w sezonie mowy po prostu nie ma. Od września wolno już chorować, ale też niechętnie. W listopadzie można ewentualnie iść na urlop, ale nie za długo, bo w grudniu znów zwala się fala turystów i urlopowiczów, przyjeżdżająca do domów wakacyjnych lub wynajmująca prywatne kwatery na święta. To samo dzieje się w marcu lub kwietniu, w zależności od tego, jak w danym roku wypadają święta wielkanocne. W styczniu i lutym są przerwy semestralne w szkołach i dla studentów. Nie wszyscy wybierają wtedy narty. Wielu przyjeżdża także tutaj w zimie. Ponadto przez okrągły rok z domów wakacyjnych i sanatoriów korzystają emeryci. Ci co prawda nie stanowią zagrożenia, nie biją, nie kradną, nie napadają i nie włamują się do sklepów czy samochodów, ale z kolei sami stają się ofiarami miejscowych przestępców, gdy samotnie zbyt późno spacerują po opustoszałej plaży lub nie oświetlonym wieczorem deptaku.

No i kiedy tu można odpocząć po wakacjach? Odebrać wolne za wszystkie przepracowane soboty i niedziele w lipcu i sierpniu?

Np. w maju tego roku policjanci z Władysławowa odnotowali równo 50

przestępstw. Miejscowi chyba uczą się już od urlopowiczów — twierdzi komendant. Nigdy wcześniej poza sezonem tyle się nie działo. Potrzeba im straszliwie ludzi do „przerabiania” tego wszystkiego, co się wydarzy. Oni nawet nie chcą już wsparcia w prewencji. Twierdzą, że gdyby np. w sezonie dostali 20 dodatkowych ludzi do patrolowania, to ci przysporzyliby im tyle dodatkowej roboty przez wylapywanie wielu dodatkowych, przez nikogo nie zgłaszanych spraw, że do przyszłych wakacji by się nie wyrobili z ich realizacją. To chyba nie wymaga komentarza.

Co teraz w tym, wydawałoby się, martwym okresie robią policjanci z Władysławowa i podobnych nadmorskich komisariatów? Poza kończeniem spraw z lipca i sierpnia ich największą bolączką są włamania do pustych obecnie obiektów turystycznych. Z opustoszałych domów wakacyjnych, domków letniskowych czy innych podobnych przybytków miejscowi złodzieje wynoszą dokładnie wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. A więc o lipcu i sierpniu nie da się tutaj zapomnieć nawet przy styczniowych mrozach.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor



denastoma komisarzami. Byli to, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, faceti od brudnej roboty. Wykonywali oni wyroki śmierci na skazanych na tę karę przez sąd, zabijali także schwytych przestępców, ale tylko tych, którzy przystawali na skazanie do winy. Pozostałych doprowadzali przed oblicza sędziowskie i jeśli wina została potwierdzona, pozbawiali ich życia bez zwłoki. Warto zaznaczyć, że sądy mieściły się na otwartej przestrzeni, a sędziowie i oskarżeni siedzieli na dużych kamieniach. Przyglądający się rozprawom ludzie (zwykle były to spore tłumy, gdyż każde posiedzenie sądu stanowiło atrakcję dla Ateńczyków) musieli stać.

Około 315 roku p.n.e. wprowadzono kolejną służbę policyjną. Gynaikonowie, bo o nich mowa, sprawowali nadzór nad przestrzeganiem ustawy o zbytku i rozwiązłym życiu. Funkcjonariusze ci sprawdzali na przykład, czy na uczcie nie ma zbyt dużej liczby gości (dozwolone przez prawo maksimum wynosiło trzydziestu uczujących), czy mieszkania nie są urządzone w sposób nazbyt wykintny i czy kościec stroje nie są wyzywające.

Policjanci w starożytnych Atenach nie mieli żadnego fachowego przygotowania w zakresie pilnowania przestrzegania prawa i porządku publicznego. Ich wybór był zawsze losowy, chociaż nie każdy, na kogo padł los (losowano z listy pięciuset członków Rady), mógł zostać funkcjonariuszem. Decydował o tym stan zdrowia i ocena moralna kandydata. Policjantem mo-

żna było zostać tylko raz i tylko na okres jednego roku, od lipca do czerwca. Takie były żelazne reguły ateńskiej demokracji, której największy rozwój przypadł na V wiek p.n.e. i był związany z życiem i działalnością polityczną Peryklesa (tzw. złoty wiek demokracji ateńskiej). Policjant rozpoczął pracę w pierwszym miesiącu nowego roku (według ówczesnego kalendarza greckiego był nim lipiec), a kończył w ostatnim miesiącu, czyli w czerwcu. Przed przystąpieniem do wykonywania swoich obowiązków składał uroczystą przysięgę, a następnie ofiarę bogom w świątyni. Zewnętrzna odznaka jego uprawnień był noszony z dumą wieniec mirtowy.

Policjant ateński zwolniony był w czasie pełnienia funkcji stróża prawa z surowo egzekwowanego obowiązku służby wojskowej. Miał także inne przywileje, na przykład w teatrze, chlubie Aten starożytnych, zasiadał na honorowym miejscu. Po zakończeniu kadencji musiał w ciągu miesiąca złożyć sprawozdanie, które następnie rozpatrywały dwie komisje: 10-osobowa komisja rewizyjna oraz kolegium publicznych kontrolerów. Za dobrze wypełnioną służbę policjant otrzymywał publiczną pochwałę, niekiedy połączoną z wręczeniem wieńca honorowego. Jeśli dowiedziono mu uchybień (każdy obywatel miał prawo do składania skarg na policjantów), musiał uszczać kary pieniężne o różnej wysokości.

PIOTR KITRASIEWICZ

NA ŻYWO

BILET DO RAJU DLA FRAJERA

Wspomnienia wakacyjne. Budzą nostalgię, miłe skojarzenia, ale i cichy żal jakby, że to tak krótko trwało.

Niektórym jednak na myśl o minionych wakacjach robi się ciemno w oczach i zła krew ich zalewa. Że tak się dali nabrać, że padli ofiarą własnej naiwności, by nie rzec wprost — głupoty, i uwierzyli w bajeczki firm turystycznych oferujących rajski wypoczynek po cenie konkurencyjnej, co per saldo wcale nie jest tak tanie, w dodatku rzeczywiście zakrawa na bajkę, lecz o Jasiu i Małgosi w szponach czarownicy.

Tego lata, jak co roku zresztą, głośno było w mediach o paru co zmyślniejszych przekrętach turystycznych („Panda Tour” — pisaliśmy o tym w „MK 997” nr 17 czy — „Skan Holiday”). A ile było tych, o których się nie wie, bo ludziom po prostu wstyd, że dali sobie wcisnąć ciemnotę, i nie chcieli, aby informacje o tym przeniknęły do wiadomości publicznej?

W bieżącym sezonie do Polskiej Izby Turystyki wpłynęło 100 skarg, z czego tylko 7 na firmy należące do PIT, którym zalecono taktowne załatwienie spraw (przeprosiny, oferty zamienne itp.). A co z tymi, które nie należą do PIT? Na nie nikt i nic nie ma wpływu. W razie niedotrzymania umów można się prawować w sądach, ale wiadomo, jak to wygląda w praktyce, i mało kto się na to pisze. Pół biedy jeszcze, gdy w grę wchodzi zatarg z firmą o jakimś statusie prawnym, de facto istniejącą i tyle tylko że nie zawsze solidnie wywiązującą się z obietnic dawanych klientowi. Gorzej, gdy jest to firma „Krzak”, jak to miało np. miejsce we Wrocławiu ze sławną wycieczką do Hiszpanii (był lokal, było supernowoczesne urządzone biuro, był uśmiechnięty elokwentny personel, wszystko było jak prawdziwie, tylko że po wpłaceniu przez żądnych wrażeń wycieczkowiczów niezłej sumki w walucie wymiennej wszystko się nagle okazało nieprawdziwe i rozwiło jak sen jaki złoty, a raczej ciemny i ponury jak noc nie przespana amatorów urlopu w Hiszpanii po ujawnieniu ordynarnego kantu).

W zasadzie turystyką w Polsce może zajmować się każdy. Oficjalnie zarejestrowanych jest ok. 3500 biur turystycznych (z tego do PIT należy 270, dysponujących 1500 punktami sprzedaży tzw. imprez na terenie kraju). A ile najróżniejszych „agencji” działa pokątnie, bez odpowiednich rekomendacji czy wręcz nielegalnie, żerując na naiwności klientów, którzy — na własne życzenie w końcu — dają się nabijać w butelkę? Pomijając już najciężniejsze strony tej branży i przypadki skrajne, przecież i znanym, wiarygodnym biurom zdarzają się wpadki; najczęściej na transporcie i hotelach (zamiast obiecanego luksusowego autokaru jak stary gruchot, a w hotelu mały horror, bo zagraniczny kontrahent okazał się nieodpowiedzialny i te same miejsca sprzedal już wygodnie rozlokowanej grupie z innego kraju).

Naiwnych niestety nie sieją, sami się rodzą, jak mawia stare porzekadło. Ile już było afer, ile rozpacz z tego powodu, ale też ile ostrzeżeń przed oszustami i apeli o zachowanie ostrożności przy wyborze biura podróży. Do ludzi wciąż jeszcze jakby nie dociera, że usługi turystyczne niczym się praktycznie nie różnią od wszystkich innych transakcji kupna i sprzedaży. Że trzeba przy zawieraniu transakcji wyjazdowej żądać umowy określającej precyzyjnie charakter oferty oraz prawa i obowiązki obu układających się stron — firmy, agencji czy biura i klienta. Bo z samego prospektu, nawet jeśli świetnie wydany i superprofesjonalnie zredagowany, niekoniecznie musi wynikać, za co klient płaci, jakie opłaty wchodzi w zakres usługi, a za jakie dodatkowe przyjemności trzeba płacić ekstra, już na miejscu.

Osobny rozdział to stan dróg w Polsce oraz stan pojazdów, jakimi dysponują biura podróży zajmujące się turystyką zarówno krajową, jak i zagraniczną. Tylko na przykładzie autobusów wożących tego lata na wycieczki dzieci i młodzież szkolną należałoby — z raportów drogowych wnosząc — co drugi autobus wyłaczyć z eksploatacji, gdyż nie odpowiadałby wymogom technicznym i warunkom bezpieczeństwa ruchu drogowego. Biur podróży — niezależnie od tego cokolwiek byśmy o nich powiedzieli dobrego czy złego — nie stać na kupno fabrycznie nowych autokarów (taki kosztuje ok. 8 mld starych złotych). Sprowadza się przynajmniej o połowę tańsze, kilkuletnie, po przebiegu powiedzmy 500 tys. km. I to się opłaca, mieści w kalkulacji. Nie wytrzymałoby jej natomiast puszeczenie (np. na wycieczkę do Hiszpanii) nowiutkiego autokaru za 500 tys. DM, bo przy tym kilometrażu klient w autokarze na 50 osób musiałby za sam transport zapłacić 6 mln starych złotych. A gdzie hotel, posiłki i inne koszty?

Biorąc pod uwagę ten niebagatelny w końcu aspekt prawidłowego — lub nie — funkcjonowania polskich biur podróży, Polska Izba Turystyki wpadła na dość prosty, wydawałoby się, pomysł: skoro można sprowadzać rocznie 30 tys. samochodów osobowych i 100 tys. samochodów ciężarowych jako tzw. kontyngent bezcłowy, to może dałoby się na tej zasadzie uzyskać roczny limit na 50 sztuk autokarów? I wniosek w tej sprawie został złożony w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Właściwa komisja sejmowa dała pozytywną opinię, wystąpiła do ministra WgZz i... na pytanie: co dalej? — sekretarz generalny Polskiej Izby Turystyki p. Andrzej Kozłowski odpowiada rozkładając ręce: — I nic. Cisza.

Jakże przenikliwie wizjonerską myślą przepojone były słowa Wyspiańskiego, jak gorzko brzmią w zderzeniu z biurokratyczną znieczulicą: „A to Polska właśnie”. Ano właśnie.

LECH TERPIŃSKI



PROKURATOR PROWADZI ŚLEDZTWO

u nich w domu. Roman L. uważał, że żona usiłuje odmłodzić się przez ciągłe, bliskie kontakty z grupą. Miał nawet powiedzieć, że nie życzy sobie, aby przez jego dom przewalały się watahy gówniary. W związku z tym od września 1994 r. studenci przestali być w mieszkaniu państwa L.

Małżonkowie L. dorównywali sobie intelektualnie — on także miał wykształcenie muzyczne i pracował w swoim zawodzie — ale chyba mniej pod względem fizycznym. Ewa była atrakcyjna, mogła się podobać mężczyznom, jej mąż zaś miał wadę stóp (nosił buty ortopedyczne), silne okulary krótkowidza i skłonności do tycia. Dla studentów, którzy go znali, był jednak autorytetem z powodu swoich walorów intelektualnych. Dostrzegali też jego dobre wychowanie i wysoką kulturę. W czasie wizyt chętnie rozmawiał z nimi, a nawet robił kanapki.

Żona Romana L. tłumaczyła te sprzeczności jego „podwójnym obliczem”. Mówiła, że najpierw jej ubliżał, a potem ją głaskał, raz jej groził, innym razem okazywał ciepło i troskliwość.

Ewa K.-L. zaprzecza, jakoby łączyły ją bliższe stosunki z Rafałem Z. Twierdzi, że ma on skłonności homoseksualne, podobnie jak dwaj inni studenci z jej grupy, i że dlatego zerwał ze swoją dziewczyną — studentką III roku muzykologii. O problemach Rafała Ewa rozmawiała ze swoim mężem, który miał odpowiedzieć, że wy czuwał „to” w Rafale, ponieważ widział jego zbyt delikatne ręce i coś kobiecego w twarzy.

W zupełnie innym świetle stosunki między Ewą a Rafałem opisał

studentom na męża, mówiła, że ją bije. Rafał opowiadał Zbyszkowi, że kiedyś zadzwoniła do niego mówiąc, iż mąż przystawił jej nóż do gardła. Zresztą dzwoniła do Rafała bardzo często.

Tymczasem, jak twierdzi ten świadek, mąż Ewy był bardzo porządny, spokojny i zarządy żony wobec niego nie miały uzasadnienia. Zbyszek, który gościł w domu małżonków L., nie zauważył, by gospodarz źle odnosił się do studentów. Przeciwnie, był grzeczny, uprzejmy, kulturalny.

Rafał Z. przyznał, że zerwał ze swoją dziewczyną, ponieważ „poderwała” go dużo starsza od niego kobieta, tzn. dr Ewa K.-L. Podczas wyjazdu w teren powiedziała mu, że bardzo się jej podoba. Zaimponowało mu to, ponieważ była atrakcyjna.

Spotykali się u niej w domu i tam doszło między nimi do zbliżenia. Powiedziała wtedy, że „to” nie może ujrzeć światła dziennego i tak powstał mit o homoseksualizmie. Z czasem jednak „bycie homoseksualistą” jak też cały związek z Ewą zaczęły Rafałowi ciążyć. Twierdzi, że nie był zakochany, lecz tylko seksualnie zafascynowany. Nie planował małżeństwa z nią. Teraz wie, że był jej „kolejnym”, i żałuje, że zerwał ze swoją dziewczyną. Powiedział o Ewie: „U niej na pierwszym miejscu była kariera, potem długo, długo nic, potem jakiś mężczyzna, na końcu rodzina”.

Na początku listopada 1994 r. Rafał miał podsumować wyniki badań terenowych i chciał, żeby w przygotowaniu tej pracy pomagała mu Ewa. Uprzedziła go jednak, że

SZUKAJ KOBIETY...

Rafał Z. poznał Ewę K.-L. na początku swoich studiów w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego. On miał niespełna 20 lat, ona — 35. Była adiunktem i opiekunem roku, na którym studiował Rafał. Prowadziła zajęcia z etnomuzykologii. Wyjeżdżała w teren ze studentami badać folklor białoruski i ukraiński. Często też studenci gościli u niej w domu.

Dr Ewa szybko przeszła ze swoimi studentami na „ty”. Chciała, by traktowali ją jak jedną z nich. W czasie spotkań towarzyskich i wspólnych wyjazdów rozmawiali nie tylko o sprawach związanych z przedmiotem studiów, ale także o problemach prywatnych. W ten sposób grupa studencka dowiedziała się, że w małżeństwie Ewy K.-L. istnieje kryzys.

Ewa zarzucała mężowi, że robi jej awantury, posuwając się do rękoczynów, że twierdzi, iż tylko on zarabia na dom, i że mąż nie dość zajmuje się dzieckiem — 6-letnią Joasią. Zaczęła nawet brać pod uwagę rozwód, a grupa wspierała ją w tym projekcie.

Zdaniem Ewy, istniało jeszcze jedno źródło konfliktów między nią a mężem. Mówiła studentom, że nie podobają mu się ich wizyty

jego kolega z roku Zbigniew B. Na początku wiosny 1994 r. dowiedział się od nich, że „są ze sobą”. Wielokrotnie wyjeżdżał z nimi, aby ukryć ich związek i odsunąć podejrzenia. Był też z nimi, z córką Ewy i grupą studentów w terenie na badaniach. Mała Joasia miała przyzwyczajać się tam do Rafała.

Zdaniem tego świadka, Rafał był w Ewie bardzo zakochany. „Był na każde jej życzenie”. Natomiast ona bardzo kontrolowała swoje uczucia, przyjmowała miłość Rafała. To ona namówiła go, by udawał homoseksualistę, aby w ten sposób ukryć ich związek. Rafał zgodził się na to. Planowali ślub, ale on mówił, że jeszcze kilka lat trzeba na to poczekać.

Ewa bardzo często skarżyła się

2 — 3 dni przed Wszystkimi Świętymi pojedzie z dzieckiem do swojej rodziny w B. Miała wrócić 1 listopada i umówili się, że tego dnia po południu Rafał przyjedzie do Ewy.

Tymczasem 31 października wieczorem Rafał postanowił odwiedzić męża Ewy, by — jak wyjaśnił — porozmawiać z nim o jego niechętnym stosunku do grupy i awanturach, jakie robił żonie z powodu odwiedzin, które już dawno ustały. Było ok. 21.30, gdy Rafał zjawił się u Romana L. Zastał go w dobrym nastroju. Gospodarz zaprosił gościa do pokoju, gdzie stała butelka wina opróżniona w 3/4.

W czasie rozmowy zaproponował Rafałowi napicie się wina. Wy-

szedł do kuchni, gość sądził, że po kieliszek, jednak Roman wrócił z... nożem. Powiedział do Rafała: „Ty gówniarzu, nie będziesz mi tu mieszał” i ruszył z ostrzem w jego kierunku.

Rafał zasłonił się, a wtedy mąż Ewy skaleczył go w palce ręki. Wtedy gość wyrwał mu noż i sam zaczął zadawać nim ciosy gospodarzowi. W pewnym momencie noż się złamał, więc Rafał poszedł do kuchni po następny. Nie pamięta, czy nim uderzył. Wiele tylko, że wszędzie, w pokoju i w przedpokoju, było mnóstwo krwi.

Do drzwi mieszkania zaczęli dobijać się sąsiedzi, zaalarmowani odgłosami z zewnątrz. Słyszeli, że ktoś wzywa pomocy. Jeden z sąsiadów miał na stałe klucze do tego domu i otworzył nimi drzwi. Sąsiedzi zobaczyli w dużym pokoju leżącą we krwi Romanę L. Obok poniewierały się różne przedmioty: but ortopedyczny, okulary, połamany instrument strunowy pokryty brązowymi plamami, zakrwawiona połowa noża.

Na widok sąsiadów sprawka uciekł przez balkon. Ktoś go gonił, ale zdołał się wyrwać. Zatrzymali go w pościgu wezwani policjanci. W pobliskim śmietniku znaleźli porzuconą przez Rafała Z. plastikową torbę z zakrwawionym nożem, szmatą i rękawiczkami. Chłopak przyznał się do popełnionego przez siebie czynu.

Powiedział jednak: „Nie przyszedłem, żeby go zabić, ale żeby porozmawiać”. Twierdzi, że działał w obronie własnej, inaczej sam by nie żył. Na swoje usprawiedliwienie ma to, że nie przyszedł do Romana L. z narzędziem zbrodni.

Mąż Ewy zmarł natychmiast z powodu upływu krwi. Sekcja zwłok wykazała 22 rany cięte i klute w obrębie szyi, żuchwy, ramienia, ręki, czoła, nosa, oczodołu. Zostały uszkodzone duże pnie naczyńne szyi, co stało się bezpośrednią przyczyną zgonu.

Prokurator nie dał wiary wyjaśnieniom Rafała Z. w zakresie motywów, jakie nim kierowały, gdy postanowił odwiedzić Romanę L. pod nieobecność jego żony. Prawdopodobnie nie zaplanował zabójstwa, ale tematem rozmowy nie mógł być niechętny stosunek Romana L. do studentów. Takiej niechęci nie potwierdzają zeznania innych świadków — studentów bywających w jego domu. O czym więc rozmawiali? Może o rozwodzie, któremu Roman był przeciwny?

Jak każdy podejrzany o dokonanie zabójstwa, Rafał Z. został poddany obserwacji sądowo-psychiatrycznej. W końcowej opinii biegli stwierdzili, że pacjent wychowywał się w prawidłowej rodzinie. Matka była księgową, ojciec nauczycielem, oboje są teraz na emeryturze. Rafał jest ich jedynym i ukochanym dzieckiem z drugiego dla obojga małżeństwa.

Od II klasy szkoły podstawowej uczył się muzyki, skończył średnią

szkołę muzyczną. Pływał, uprawiał kulturystykę i walki wschodu. Równoległe ze studiami grał w zespole rockowym. Swoją przyszłość wiąże z uprawianiem muzyki i nawet w areszcie kontynuuje studia.

Rafał Z. nie sprawiał kłopotów wychowawczych, uczył się bardzo dobrze, jako dziecko był jednak wątpliwie i nadwrażliwy. W wieku 13 lat skierowano go na oddział neurologiczny szpitala dziecięcego z podejrzeniem choroby mózgu. Po badaniach rozpoznano reakcje nerwicowe.

Rodzice wiązali z jedynakiem duże nadzieje i starali się rozbudzić w nim ambicję. Syn nie zawsze mógł sprostać ich oczekiwaniom. W rezultacie na trudności reagował objawami nerwowymi — zawrotami głowy, nudnościami, omdleniami. Natomiast nie miał tendencji do rozwiązywania swoich problemów za pomocą zachowań agresywnych.

Lekarze nie stwierdzili u Rafała Z. objawów psychotycznych. Uznali, że jest jednostką pozytywną, ale przejawia nadpobudliwość i cechy egocentryczne, jest zależny od autorytetu rodziców, nie przygotowany do samodzielnych decyzji, rozbudzony ambicjonalnie, nastawiony na sukces bez uwzględnienia realnych możliwości, źle znosi niepowodzenia, stąd przeżywa częste stresy i frustracje.

Te cechy charakteru, połączone ze stwierdzonymi w czasie badań zmianami organicznymi mózgu, miały wpływ na przebieg tragicznego zajścia w mieszkaniu małżeństwa L. 31 października 1994 r. Nagły stres, spowodowany poczuciem zagrożenia życia, zakłócił procesy myślowe Rafała Z., utrudnił prawidłową ocenę sytuacji i wywołał ostrą patologiczną reakcję lekowo-agresywną, połączoną z zaburzeniami świadomości.

Prokurator przychylił się do opinii biegłych, że w chwili zdarzenia Rafał Z. miał w znacznym stopniu ograniczoną zdolność rozpoznawania znaczenia swojego czynu i kierowania postępowaniem. Dlatego oskarżenie o popełnienie przestępstwa z art. 148 § 1 k.k. złagodził dodaniem: w związku z art. 25 § 2 k.k., który to artykuł dopuszcza nadzwyczajne złagodzenie kary.

Prokurator nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że Ewa K.-L. namawiała swojego studenta do popełnienia zbrodni. Rodzina ofiary ma jednak na ten temat inny pogląd.

W lipcu akt oskarżenia w tej sprawie został przesłany do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA
zdj. Krzysztof Potocki

PS Imiona i pierwsze litery nazwisk osób występujących w artykule zostały zmienione.

W SŁUŻBIE JEJ SEKSUALNEJ MOŚCI

„JASKÓŁKI” I „KRUKI”

3

W połowie lat 70., mimo swych blisko 55 lat, Lidia Kuzazowa była wciąż atrakcyjna. Dystyngowana, emanująca czarem i dyskretną elegancją mogłaby z powodzeniem być żoną wysokiego rangą dyplomaty czy rzutkiego biznesmena. Mimo to Lidia wciąż była kobietą niezamężną. Wtajemniczeni tylko wiedzieli, że posiadała stopień pułkownika KGB i była szefową tyle tajemniczej, co zadziwiającej szkoły, w której ta groźna instytucja szkoliła swych seksagentów.

200 km na pld.-wsch. od Kazania, w odludnym, gęsto zalesionym i mocno strzeżonym rejonie, znajduje się — nie uwidoczniła na żadnej oficjalnej mapie — miejscowość zwana Wierchnoje. Próchno szukać tam zwykłych mieszkańców. Zabudowę jej stanowi kompleks wielu niskich budynków zaprojektowanych w szczególny sposób. W tym to właśnie miejscu specjalnie wyselkjonowani: młode dziewczyny i młodzi mężczyźni — przeważnie ok. 18-letni — szkoleni byli w technice sekszpiegowstwa. Ten specyficzny trening miał na celu „wyzwolenie” ich z wszelkich seksualnych zahamowań. Uczni byli, jak dać partnerowi maksimum zadowolenia, jak stosować i znajdować przyjemność w każdej możliwej odmianie i perwersji aktu płciowego, co więcej, jak zachować się naturalnie w takiej sytuacji mając świadomość, że może ich obserwować i rejestrować ukryta kamera.

Dziewczeta szkolone przez Lidę pochodziły z całego ZSRR. Uroda była warunkiem nr 1, ale musiały też być inteligentne i czarujące, posiadać umiejętność akceptacji przez każde środowisko. Znajomość języków obcych (głównie angielskiego, francuskiego, niemieckiego) była dodatkowym kryterium. Większość z nich była naiwna i nieświadoma; pochodziły przeważnie z szanowanych rodzin. Wiele, zanim przestąpiły próg szkoły, było dziewczętami. Często nie były świadome, do jakiej roli je przeznaczano. Skuszone mierzem dobrych zarobków i uprzywilejowaną pozycją w społeczeństwie decydowały się na szkolenie.

Zanim werbownik z KGB podjął z wytypowaną pierwszą rozmowę, ona sama, jej bliższa i dalsza rodzina byli skrupulatnie badani, zwłaszcza pod kątem pewności politycznej. W toku dalszych rozmów obiecywano atrakcyjne warunki życia, możliwość bywania na — „zakazanym” dla większości Rosjan — Zachodzie. Cykl rozmów kończył się podpisywaniem zobowiązania o dochowaniu tajemnicy najwyższej wagi państwowej.

Młodzi mężczyźni rekrutowani byli w podobny sposób. Nie wszyscy byli nadzwyczaj przystojni, celami KGB bowiem bywały częstokroć nudzące się kobiety w średnim wieku, które nie zawsze przywiązywały wagę do wyglądu. Mężczyźni ci selekcjonowani byli przez kobiety-pracownice KGB pod kątem ich osobowości i sprawności seksualnej. Niektórzy z nich już gdzieś pracowali, a pracę dla KGB łączyli z wykonywanym zawodem, traktując ją jako pomoc w karierze i wygodniejszym życiu. Natomiast homoseksualiści byli pełnoetatowymi agentami, mając do wyboru albo służbę dla KGB, albo więzienie (homoseksualizm był karalnym w ZSRR). Szkoleni byli, jak być partnerem dla cudzoziemców o podobnych skłonnościach.

Rzeczpospolite właściwego szkolenia w sekszpiegowstwie poprzedzone było indoktrynacją na 4-miesięcznym kursie z zakresu marksizmu-leninizmu w ośrodku pod Moskwą. Potem przewożeni byli do Wierchnoje.

Zakwaterowani byli we wspólnych sypialniach. Korzystali ze wspólnych łazienek. Wszystko po to, by wyzbyli się skrupałów wobec płci przeciwnej. Trening w poznawaniu technik seksualnego usidlenia odgrywał najistotniejszą rolę w szkoleniu agentów. Ważne znaczenie miały zajęcia praktyczne, gdzie wszelkie chwytły były dozwolone, aby realizować zadanie szkoleniowe. Oceniano nie tylko sposób realizacji, ale i pomysłowość w doborze środków oraz swobodę i naturalność zachowania. Jeśli dziewczyna-studentka musiała się oddać w trakcie ćwiczenia — robiła to. Tak samo postępował mężczyzna, gdy grał rolę homoseksualisty, mimo że de facto nim nie był.

Ponadto szkolenie obejmowało intensywną naukę obcego języka, skoki spadochronowe, walki wręcz, szybką jazdę samochodem, strzelanie, zabicie przy użyciu trucizny i narkotyków, szfrowanie, fotografowanie itp. Cały entourage przyszłego szpiega. Jeśli agenci byli przygotowani perspektywicznie do specjalnych i ważnych zadań, szkolenie trwało nawet 10 lat i odbywało się dodatkowo w innych specjalnych ośrodkach, gdzie stworzone były identyczne warunki jak w krajach, w których mieli działać. W przypadkach agentów-obcokrajowców aranżowano ich nielegalny przjazd do ZSRR i w Wierchnoje poddawani byli przyspieszonemu, ale za to bardzo intensywnemu treningowi.

Przed zakończeniem kursu dokonywano ponownej surowej selekcji i tylko najlepsi kwalifikowani byli do pracy za granicą. W żargonie KGB takie kobiety-agentki zwane były „JASKÓŁKAMI”, a agenci-mężczyźni — „KRUKAMI”. Znaczyło to, że mogą już samodzielnie „latać”.

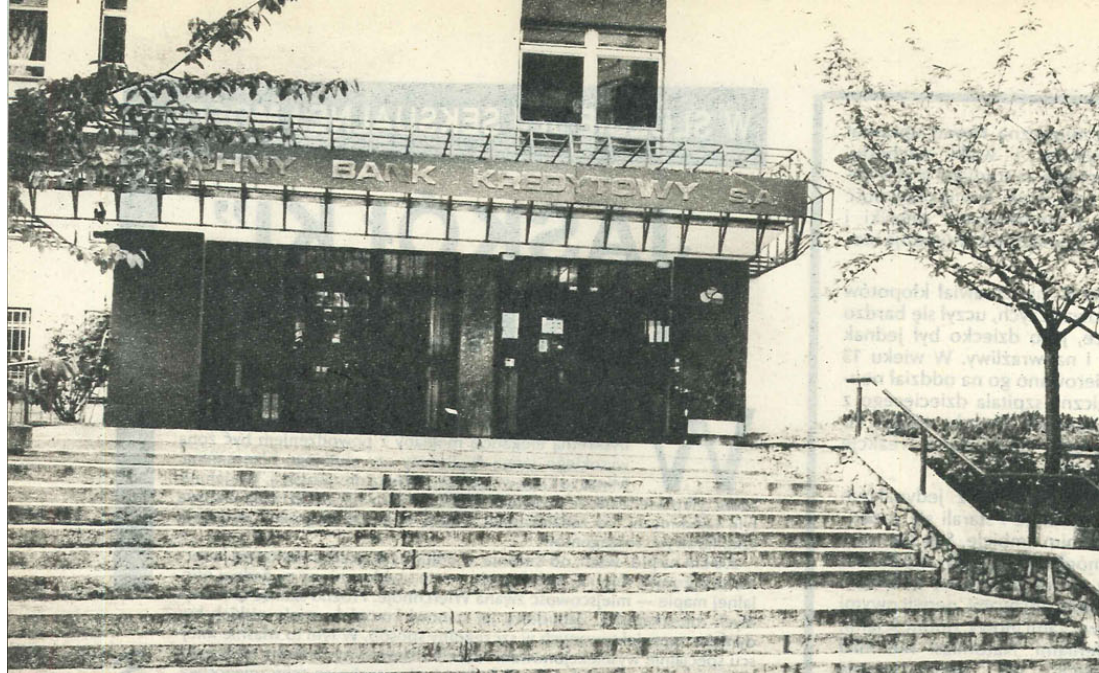
Po końcowych egzaminach „absolwenci” wysłani byli do ośrodków wypoczynkowych na Kaukazie na miesięczny urlop.

Chociaż te kobiety i mężczyźni przygotowani byli do roli prostytutek, sami siebie nigdy za takowe i takowych nie uważali. Od samego początku ich kariery szpiegowskiej uczeni byli, że sekszpiegowstwo jest nie tylko usankcjonowanym sposobem wywiadowym, ale często najtańszą i najefektywniejszą metodą zdobywania informacji.

JAN LARECKI

(W kolejnym odcinku: Zdradziecka kochanka „Che” Guevary)

(Tajemnice szkoły KGB dla seksagentów)



Policjantom, którym niezwłocznie po napadzie przyszło działać na miejscu zdarzenia, wydało się jasne, że napastnicy nie działali w ciemno. Wiedzieli, że konwój przyjeżdża codziennie o tej samej porze, choć różnymi samochodami. Ani kasjerka, ani ochroniarze ze spółki „Waco” nie nosili specjalnych uniformów. Mimo to przestępcy pewnie wyluskali ofiary z tłumu interesantów. Nie pomylili się, zadziałali bezzłecznie.

Ślad nr 8



Strzały padły w Sosnowcu w słoneczny wiosenny dzień. W poniedziałek 15 maja w samym centrum miasta, przy ulicy Kaliskiej, trzej młodzi ludzie dokonali brawurowego napadu na kasjerkę i ochroniarzy dostarczających do miejscowego oddziału Powszechnego Banku Kredytowego sobotnio-niedzielną utarg z największego katowickiego supermarketu „U Belga”. Bandyci nie nosili masek. Z premedytacją użyli pistoletu. Oddali cztery strzały do konwojentów wyposażonych jedynie w broń gazową. Komendant ochrony Wiesław Kuźma ma strzaskaną kość udową. Przeszedł poważną operację. grożą mu następne. Przebywa w szpitalu. Kierowcy Wiesławowi Ostońskiemu bandyci przestrelili na wylot jedną nogę i postrzelili drugą.

Dotkliwie poturbowana została kasjerka Gabriela Cechelius, z determinacją broniąca niesionych pieniędzy. Przestępcy bili ją, kopali, wleki leżącą po asfaltowym parkingu. Zdołali wydrzeć foliową reklamówkę z 1 mld i 220 mln starych złotych oraz torebkę z dokumentami i gotówką. Uciekli wzdłuż ogrodzenia pobliskiej szkoły w stronę ul. Legionów. Tam zniknęli. Żaden ze strażników ochraniających PBK nie zareagował na rozgrywające się przed bankiem i w przedsiönku wydarzenia pomimo rozpaczliwej szamotaniny napadniętych, krzyków, strzelaniny. Przez tę zaskakującą bierność zaprzeczono szansę ocalenia pieniędzy oraz ujęcia przynajmniej jednego z bandytów.

Na parkingu przed bankiem znaleziono cztery łuski, które zdaniem eksperta balistyki, wystrzelono z pistoletu kaliber 5,6 mm. Za sportowym charakterem broni przemawiały bocznie umiejscowione ślady iglicy. Dysponowano również górnym fragmentem reklamówki, w której transportowano pieniądze, pozostawionym w dłoniach sponiewieranej kasjerki.

Równocześnie z dokonywaniem śledczych oględzin terenu przed bankiem trwały systematyczne rozmowy ze świadkami. Uzyskano wstępne rysopisy sprawców: młodych ludzi, w wieku do trzydziestu lat, o wysokich, wysportowanych sylwetkach „mieśniarzy”, w podniszczonych dresach, z baseballówkami na głowach. Spenetrowano trasę ich ucieczki, przepytowano

taksówkarzy, tramwajarzy, kierowców autobusów.

Jeden ze świadków, obserwujący przebieg wypadków z balkonu mieszkania, podał, że jakiś czas przed napadem widział przy ogrodzeniu szkoły dwóch mężczyzn wyjadających z torebki cukierki. Dokonano zatem oględzin wskazanego punktu, natrafiając na puste opakowanie po słodyczach. Ślad oznaczono numerem 8, sfotografowano i przekazano do badań daktyloskopijnych. Wahano się przez chwilę, czy nie lepiej będzie zachować torebkę do eksperymentów odorologicznych, ale ostatecznie zdecydowano o użyciu ninhydryny. Odczynnik wywołał na opakowaniu wyraźny odcisk kciuka nadający się do identyfikacji. Niestety, wywiad daktyloskopijny wykazał, iż karta z podaną formułą nie figuruje w zbiorach Centralnej Registratury Daktyloskopijnej.

Komendant wojewódzkiej policji w Katowicach, podinspektor Ryszard Mastalerz powołał grupę złożoną z 9 policjantów pionów operacyjnych i śledczych KRP oraz KWP. Na czele stanął kom. Ryszard Bańka, zastępca naczelnika WDS sosnowieckiej komendy. Przystąpiono do żmudnej policyjnej roboty, przebiegającej pod kryptonimem „Belg”, w trakcie której po raz pierwszy na szeroką skalę zastosowano nową metodę kryminalistyczną, tzw. analizę bilingów. O tym za chwilę.

Kojarzono rysopisy ze zdjęciami z policyjnych kartotek. Sprawdzano alibi osób karanych w przeszłości za podobne przestępstwa. Za kryteria eliminacji oprócz wyglądu przyjęto formułę daktyloskopijną. Bezpośrednio działania te nic nie dały, ale przyniosły masę ustaleń przydatnych w przyszłości.

Jedna z hipotez zakładała, że sprawców należy poszukiwać w kręgu obecnych i byłych ochroniarzy supermarketu „U Belga”. Roste sylwetki napastników wskazywały, że należą oni do ludzi uprawiających sport, zwłaszcza dyscypliny siłowe: podnoszenie ciężarów, kulturystykę. Zainteresowano się więc katowickimi siłowniami, poddając je stałej, aczkolwiek dyskretnej obserwacji.

W czerwcu do grupy dotarła ekscytująca wiadomość. Kilka tygodni wcześniej w lesie koło Rzeniszowa w województwie częstochowskim grupa młodych mężczyzn strzelała z pistoletu do drzew. Przyjechali białym fordem sierrą z katowickimi numerami rejestracyjnymi.

— Pomyślałem: szansa jedna na milion! — wspomina komisarz Bańka. — Zwołałem chłopaków i zdecydowałem: — Jedziemy! Cały dzień chodziliśmy od sosny do sosny, grabiliśmy ściółkę i przesiewaliśmy ziemię. Ogarniało nas znużenie i zniechęcenie. Pod wieczór trud się jednak opłacił. Odnaleźliśmy 4 łuski wystrzelone z broni

siłownię „Apollo”. Jeden z ćwiczących, Karol Pilecki, przyjeżdżał na treningi białym fordem.

Teraz właśnie posłużono się analizą bilingów, czyli komputerowymi rejestrami rozmów telefonicznych prowadzonych z supermarketu, z siłowni oraz z mieszkania właściciela samochodu. Droga drobniarzowego kojarzenia numerów telefonów wyłapała jeden, z którego rozmowy powtarzały się na wszystkich trzech interesujących policję kierunkach. Był to telefon drugiego ze sprawców, Karola Zasady.

Zanim jednak policjanci nabrali pewności, że dysponują właściwymi namiarami, uruchomiono w celu sprawdzenia zasoby Wydziału Informatyki. Poszły w świat szyfrówki. Zastosowano za zgodą prokuratora środki techniki operacyjnej.

Niebawem ciekawych informacji dostarczył Komisarz Kolejowy Policji w Opolu. Pod koniec zeszłego roku zatrzymano tam czterech mężczyzn oraz kobietę, dokonujących rozbojów i kradzieży kieszonek w pociągach. Wśród nich był Karol Zasada. Prokurator zwolnił go wówczas nie posiadając przekonujących dowodów winy. Inny z zatrzymanych, podawszy fałszywe nazwisko, uciekł. Teraz zdołano jednak ustalić prawdziwe jego personalia: Władysław Łowicki.

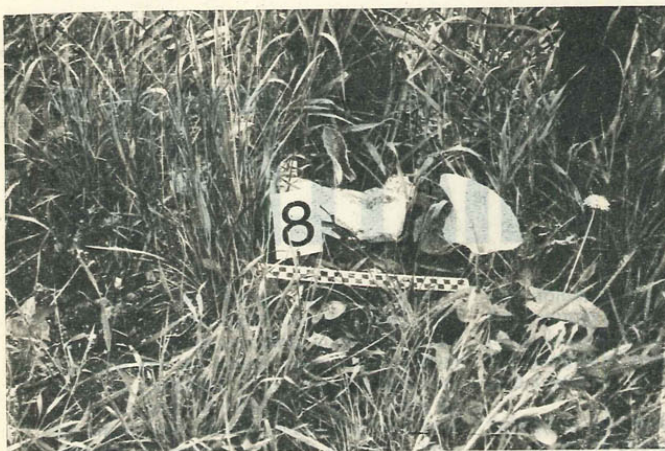
Łowicki, mający na sumieniu wiele przestępstw z artykułów 203, 208, 156 k.k.,

przesłuchań złała początkową solidarność i milczenie przestępców. Dzięki rozeznanii sieci telekomunikacyjnej policja „wysła” na numer telefonu dziewczyny Łowickiego. Spędzała wakacje na Wybrzeżu Koszalińskim. Jej matka zdradziła ważną wiadomość. Przed wyjazdem córka schowała 100 milionów złotych, nakazując, by przekazać je Władowi, kiedy się pokaże. Tak się stało. Łowicki dopytywał się o adres dziewczyny, wydawał się być strasznie zakochany. Domyślono się, że podążył nad morze.

Ujęto Łowickiego przez zaskoczenie w Mielnie, na deptaku. Na kwaterze u sympatii ukrywał pokaźny plik banknotów. Tłumaczył naiwnie, że znalazł je w piasku na plaży. Policja wiedziała już jednak, że odbliski linii papilarnych widniejące na torebce opisanej jako ślad numer 8 pozostawił jego kciuk. Namietność do słodyczy przywiodła go do zguby.

Z 1,2 miliarda zrabowanych złotych odzyskano zaledwie 105 milionów i 3500 marek niemieckich. Na poczet spodziewanych kar zajęto podejrzanym złoto i biżuterię. Większość łupu sprawcy roztrwonili na hulanki.

Policjanci zgodnie utrzymują, że sukces nie byłby możliwy, gdyby nie osobiste zaangażowanie prokuratora rejonowego pani Lucyny Wójcik-Cukier. — Nie ograniczała się, jak to zwy-



Najpierw bowiem tradycyjnie poszukiwano świadków. Policjanci obezli okoliczne bloki, przepytując wszystkich lokatorów. W razie nieobecności powracano do konkretnego mieszkania wielokrotnie. Nikogo nie pominęto. Ustalono również wszystkich klientów banku, dokonujących operacji finansowych 15 maja. Pomocna przy identyfikacji okazała się kamera rejestrująca ruch przy kasach, chociaż obiektyw nie sięgał do przedsiönka, gdzie rozegrały się początkowe sceny napadu. W sumie przesłuchano ponad 200 osób. Informacje 18 wniosły wiele istotnych danych do sprawy.

Na podstawie rysopisów i portretów pamięciowych typowano sprawców.

małokalibrowej. Już na pierwszy rzut oka wyglądały identycznie jak zebrane pod bankiem, co bez cienia wątpliwości potwierdziły badania kryminalistyczne. Z pniaków wydłubaliśmy również kilka pocisków, zbyt zniekształconych, by mogły posłużyć do identyfikacji indywidualnej broni.

Od tego momentu czynności śledcze nabrały tempa. Wprawdzie sprawdzenie właścicieli prawie ośmiu tysięcy białych fordów sierra zarejestrowanych w województwie było przedsięwzięciem prawie niewykonalnym, ale wtedy właśnie przydały się wiadomości uzyskane podczas „nadzoru” nad siłowniami. Ochroniarze od „Belga”, aktualni i zwolnieni, preferowali



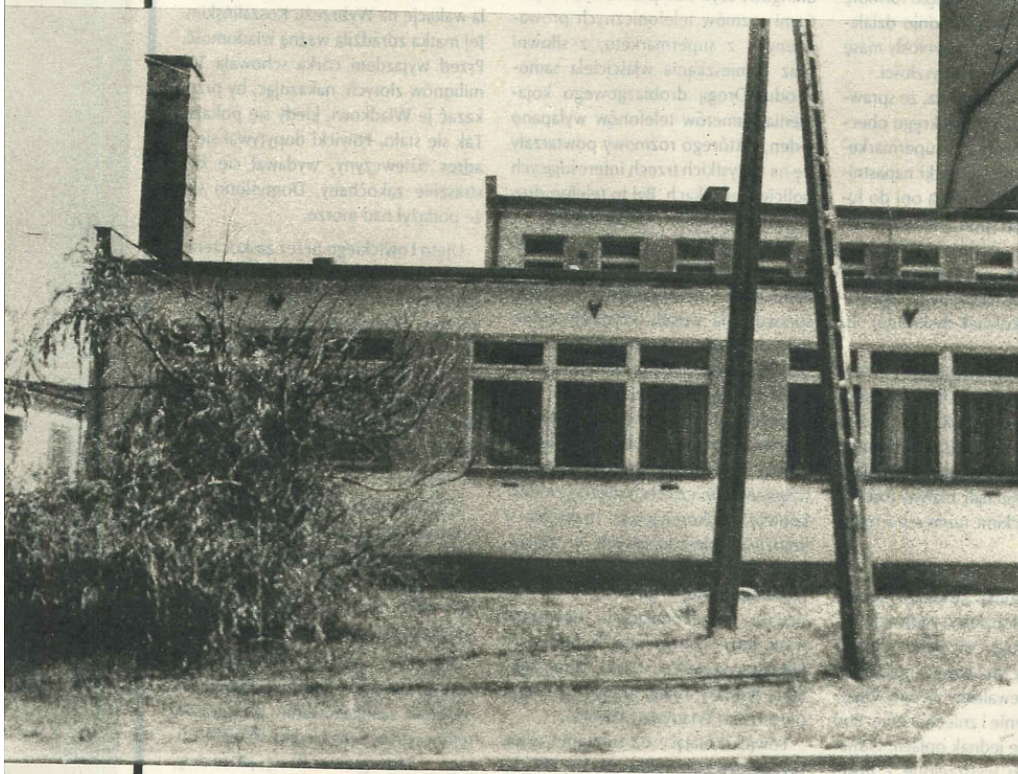
opuścić zakład karny w Potulicach i osiadł na Śląsku. Bywał legitymowany przez policjantów jednostek kolejowych w Katowicach i Gliwicach, zawsze w grupach z innymi niebieskimi ptakami. Dzięki temu poznano jego kontakty towarzyskie, ogółem 15 nazwisk. Wszędzie, gdzie było to możliwe, dokonano sprawdzeń bilingów. Odkryto adres zamieszkania Łowickiego i pozyskano jego fotografię. Wstępnie rozpoznali go świadkowie napadu.

W środę 19 lipca przystąpiono do finalizacji rozpracowania operacyjnego. Brygada antyterrorystyczna wspierana wywiadowcami WTO zatrzymała Zasadę i Pileckiego. Odpowiednia taktyka

kłe bywa, do wertowania papierów — mówi podinspektor Kazimierz Piasecki, komendant rejonowy policji w Sosnowcu. — Głęboko weszła w śledztwo, asystując przy bez mała wszelkich czynnościach. Nie licząc czasu, piątek czy świątek, spełniała rolę „prokuratora — policjanta”, pomagając, doradzając, załatwiając zezwolenia na stosowanie niekonwencjonalnych metod procesowych. Szkoda, że odeszła, przyjmując z rąk prezydenta RP nominację na sędzinę. Kogoś takiego będzie nam brakowało.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdj. Ryszard Jeziorski

Napad na bank



O banku w Żukowie koło Gdańska jeszcze niedawno było głośno. O napadzie trąbiły telewizyjne wiadomości w obu głównych programach, rozpiswały się gazety. Kilka dni później o sprawie zapomniano.

W GDAŃSKIEJ PRZYLEPCE

Pojechałem na miejsce. Długo nie mogłem trafić do tego szumnie nazwanego „banku”. Mieści się w starej bazie SKR, gdzie najpierw trzeba przejść przez bramę, minąć dyżurkę i naprzeciwko wewnętrznej stacji paliw skręcić w lewo. Wówczas dopiero można zobaczyć mały parterowy budynek z nie zakratowanymi oknami, pamiętający zapewne początki lat 60. I gdyby nie tablica, znajdująca się zresztą w niezbyt widocznym miejscu, nigdy bym się nie domyślił, że ten szary budynek zwany jest bankiem.

To właśnie na ten bank napadli nieznani sprawcy w nocy 25 lipca br., zabrali około półtora miliarda starych złotych i przepadli bez wieści.

Po drugiej stronie ulicy na lekkim wzniesieniu znajduje się całodobowa stacja benzynowa. Z góry wszystko dobrze widać. Między godziną pierwszą a drugą w nocy teren Żukowa patrolował policyjny radiowóz. Przejeżdżał tędy. Brama była zamknięta, światło się paliło, za ogrodzeniem cisza i spokój, czyli wszystko w najlepszym porządku, jak zawsze. Tymczasem...

Przestępcy pojawili się około północy. Ich ofiarą jako pierwszy padł stróż nocny. Błyskawicznie został obezwładniony i związany. Chwilę później bandyci natknęli się na kobietę, która w pomieszczeniu sąsiadującym z ban-

kiem wynajmowała pokój i zaniepokojona hałasem wstała z łóżka. Przestępcy zaprowadzili ją z powrotem do pokoju, zakwaterowali u niej związanego dozorcę i zostawili jednego do pilnowania. Kobiety nie związali, ponieważ była w ciąży.

Około 2.00 w nocy do bazy SKR przyjechał samochód z pasaż. Stanął przed bramą, mrugnął światłami i zatrzymał. Jeden z przestępców wyszedł na zewnątrz, zapytał, czego chce i po chwili otworzył bramę. Kiedy samochód znalazł się już na terenie SKR, do kierowcy podbiegło kilku zamaskowanych młodych mężczyzn, wywlokło go z kabiny i mimo stawianego w sposób dość gwałtowny oporu zaciągnęło do pokoju, w którym przebywali jego lokatorka i dozorca. Dopiero teraz przystąpili do rozwalania kas. Najpierw jednak musieli zabrać się za alarm...

— Takie zabezpieczenie, jakie było w tym banku — mówi komendant rejonowy KRP w Kartuzach nadkomisarz Andrzej Filocha, mający w swojej pieczy m.in. miejscowość Żukowo — nadaje się na kajak albo co najwyżej na domek letniskowy. Przewody alarmu poprowadzone wraz z linią telefoniczną 2 metry nad dyżurką widoczne są z daleka. Nawet dziecko umiałoby je przeciąć. Po tym zabiegu alarm i wszystkie inne zabezpieczenia kas przestawały działać.

Przestępcy nie musieli się zbytnio wysilać. Zresztą we wszystkich ich działaniach widać prymitywną amatorszczyznę. Unieszkodliwiając alarm poprzeczali jak leci wszystkie przewody oprócz prądu. Fachowcy aż tak by się nie trudzili, przecięliby tylko to, co trzeba. Kasy tłukli przyniesionymi ze sobą jakimiś starymi młotkami, łomami. Potem, na odchodnym, wszystko wyrzucili w polu. Policjanci przez dwa dni zbierali po nich młotki, łomy, nawet butlę acetylenową (myśleli pewnie, że trzeba będzie coś przecinać), kasety, w których znajdowały się pieniądze i inne drobiazgi. Śladów linii papilarnych jednak nigdzie nie zostawili. Zapachowych także, w każdym razie pies nie podjął żadnego tropu.

Ze sterroryzowanymi zakładnikami obchodzili się nad wyraz kulturalnie. Związali tylko mężczyzn, a kierowcy ciężarówki pilnujący całej trójki przestępcy podał wyjęte z jego portfela tabletki na nadciśnienie i własnoręcznie wsunął mu je fachowo pod język. A że przy okazji wyjął z tegoż portfela znajdujące się tam 2 miliony 800 tysięcy starych złotych... Widocznie tyle policzył sobie za lekarską usługę. Portfel następnie starannie wytarł, ponieważ dotykał go gołymi rękami, i oddał właścicielowi. Kultura wręcz nie spotykana, nie tylko u bandytów. Następnie oznajmił zgromadzonemu, że jak będą siedzieli cicho, to nic im się

nie stanie (i dotrzymał słowa), a kiedy kierowca poprosił o wyprowadzenie do toalety, pomógł mu wstać, wyprowadził na korytarz, rozpiął spodnie i powiedział, żeby sobie ulżył i nie przejmował się, bo rano sprzątaczką posprząta. Złoty chłopak!

Po skończonej robocie przestępcy w liczbie najprawdopodobniej sześciu chłopów przeskoczyli przez ogrodzenie i rozeszli się. Co prawda widziano w nocy w okolicy SKR jakiegoś czerwonego poloneza, ale mógł znaleźć się tam całkiem przypadkowo. Mógł też oczywiście ubezpieczać bandytów i kilku z nich zabrać do środka. Ślady jego opon nie nadają się jednak do identyfikacji. Co najmniej dwóch z nich musiało wracać z napadu na bank piechotą, żeby porozrzucić w polu zbędne już akcesoria (wspomniane łomy, puste kasety po pieniądzach, a także dwa pistolety gazowe wyjęte z sejfu w banku, kominiarki itp.).

Przestępcy na odchodnym powiedzieli kobiecie, że będzie mogła rozwiązać obu panów, ale dopiero za godzinę. Ta nie posłuchała i zabrała się za uwalnianie towarzyszy niedoli zaraz po wyjściu bandytów. Spowodowany tym hałas usłyszeli pracownicy CPN. Dali znać na policję. Radiowóz z komisariatu w Żukowie przyjechał, zanim napadnięci w banku zdążyli sami powiadomić policjantów. Mimo to żadnego tropu nie podjęto. A więc szukaj wiatru w polu?

Okazuje się, że komendant rejonowy w Kartuzach wcale tak nie uważa. Jest optymistą.

— W tej sprawie mamy jeszcze wiele do zrobienia — stwierdził. — I to mnie najbardziej cieszy. Bo skoro wiemy, jak działać, gdzie i czego szukać, to są duże szanse, że sprawcy, kompletni zresztą amatorzy, wpadną w nasze ręce.

— O wiele bardziej martwi mnie inna, mniej głośna sprawa z naszego terenu — kontynuuje mój rozmówca. — W Sierakowicach zaginęła 16-letnia dziewczynka. My nie jesteśmy przygotowani na takie akcje. Brakuje nam ludzi do penetracji terenu. Mimo to przeczesałmy wszystkie okoliczne lasy. Szukaliśmy przez 5 dni i nocy. Po tym czasie bandzior, jakby chciał zakpić sobie z nas, podrzucił nam nagie ciało dziewczynki w pobliżu miejsca, gdzie zginęła. Została uduszona. Najpierw myśleliśmy, że na tle seksualnym, ale sekcja zwłok tego nie potwierdziła. Do dziś jesteśmy w martwym punkcie.

— Największe zagrożenie to oczywiście Żukowo — dodaje komendant — taka przyłepka do Gdańska. Mamy tam od lat zaledwie 12-osobową załogę komisariatu, a przestępczość rośnie lawinowo. W pierwszym półroczu br. naliczyliśmy już prawie 1000 zdarzeń. Jeszcze trzy lata temu w analogicznym okresie mieliśmy ich niewiele ponad 500. Stan etatowy od tamtej pory nie powiększył się nawet o jedną osobę.

— Ja jeszcze do niedawna — kontynuuje mój rozmówca — pracowałem w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Nie przypuszczałem wówczas, że w komendach rejonowych mogą być takie problemy. Kiedy o nich słyszałem, twierdziłem, że tam w terenie jak zwykle przesadzają. Dopiero gdy się tutaj przeniosłem, zrozumiałem raz na zawsze, że to nie żadne białolenia. Sytuacja na dole jest rzeczywiście dramatyczna.

No cóż, to stara prawda, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia. Ciekawe więc, czy sprawcy napadu na „bank” w Żukowie w takich warunkach zostaną wykryci i osądzeni. Komendant Andrzej Filocha twierdzi, że są duże szanse. Ja jestem mniejszym optymistą, choć bardzo chciałbym się mylić. Jeśli tak właśnie się stanie, obiecuję Czytelnikom, że natychmiast do tej sprawy powrócimy na naszych łamach.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. autor

Przedsiębiorczy artysta

Czterdziestoletni Stanisław Sz. snił o artystycznej sławie. W szkole uchodził za cudowne dziecko. Ciągłe pochwały sprawiły, że sam uwierzył w swój talent. Zamiast więc do solidnej pracy, wziął się do malowania... portretów i pejzaży.

Portrety dość wcześnie wybito mu z głowy. Ponieważ przed ich wykonaniem brał zaliczki, dochodziło do awantur z niezadowolonymi klientami. Niewiele brakowało, by pewna krewka dama pozbawiła go oka.

— To mam być ja, ty głupku? — wołała nerwowo, wymachując szpikulcem parasolki. — Według ciebie, idioto, tak wyglądam? Ten „portret” miałabym wysłać ciotce do Australii, która zamierza obdarować mnie spadkiem? Baranie, gdyby zobaczyła coś takiego, wyrzekłaby się swej kuzynki na zawsze. Oddaj zaliczkę i precz z moich oczu!

Po kilku takich incydentach Stanisław Sz. wziął się za widoczki. Dźwigał na plecach sztalugi i torby z farbami, rozkładał majdan na ulicach miasteczek i usiłował przenosić na karton wiekowe budowle, zabytkowe bramy, wille oraz kościoły. Za jego plecami zbierały się gromadki gapiów. Ale zamiast wyrazów zachwytu padały cyniczne uwagi, zwłaszcza gdy „dzieło” dobiegało końca i można je było porównać z oryginałem.

Chętnych kupujących ową twórczość p. Stanisława wciąż brakowało. Nic więc dziwnego, że znany był z chronicznego braku pieniędzy. Nie mówiąc już o sławie.

Jednakże los pana Stanisława zmienił się i jego nazwisko w woj. zielonogórskim stało się znane dość szeroko. Najbardziej zaś wśród policjantów i prokuratorów, którzy poszukiwali go listem gończym.

Czym zasłużył sobie na taką popularność? Zrezygnował z malarstwa. Namówiła go do tego grupa osób mająca na względzie wielki biznes.

— Kupimy ci fabrykę, której będziesz formalnym właścicielem.

— Ja się na tym nie znam — protestował. Przekonała go jednak chęć szybkiego zdobycia fortuny. — Ona już stoi za twoim progiem. Nie martw się, nic ci nie grozi.

Panowie byli konsekwentni. Za kilkaset milionów złotych kupili zdewastowaną rozlewnię wód gazowanych w łagowie Lubuskim. Mając w rękę akt własności, wystawiony na Stanisława Sz., powołali biegłego, który wycenił ten majątek na... 12 miliardów starych złotych.

Był to jednak początek oszałamiającej transakcji. Mając dokument wyceny, grupa biznesmenów ruszyła na Śląsk. Tam za całą kwotę uwidocznioną jako wartość majątku na blankiecie wyceny zakupionej wytwórni wód gazowanych panowie zakupili kilkanaście pociągów... węgla kamiennego. Po stosunkowo niskiej cenie, gdyż węgiel „nie

szedł”, a jego zapasy wciąż rosły. Owo niegdysiejsze czarne złoto kupiono według klauzuli o przedłużonym terminie płatności. Czyli że nie od razu gotówka miała wpłynąć do kasy kopalni, a zabezpieczeniem długu była nieruchomości w łagowie. Dokonano wpisu na jej hipotekę.

Obydwie strony nie ukrywały swego zadowolenia. Kopalnia szybko zorganizowała transport. Niebawem długie towarowe pociągi załadowane węglem wyruszyły w kraj pod wskazane przez nabywców adresy. Były nimi bocznice kolejowe. Odbiorcy, przeważnie szkoły, przedszkola i instytucje, po wcześniejszym zawarciu umów płacili z góry należność na wskazane przez sprzedawców konto. Czysto prywatne, osobiste, a nie firmowe, zgłoszone do Urzędu Skarbowego, jak nakazuje prawo.

W relacji sprzedawca — odbiorca żadnych świństw nie popełniono. Instytucje w woj. zielonogórskim, konińskim i wrocławskim węgiel otrzymały. Co do kilograma.

Heca zaczęła się dopiero wtedy, gdy minął termin płatności wobec kopalni. Dyrekcja wysłała do „firmy” ponaglenia. A gdy i to nie poskutkowało, zwróciła się do Urzędu Skarbowego w łagowie z prośbą o blokadę konta wytwórni wód gazowanych. Okazało się ono puste. W tym stanie rzeczy podejrzewająca oszustwa dyrekcja kopalni przekazała sprawę prokuraturze i policji.

Wszczęto bezzwłocznie postępowanie procesowe. Policjanci chcieli zatrzymać artystę, Stanisława Sz., który był formalnym właścicielem firmy w łagowie. W jego imieniu „plenipotenci” podpisywali na Śląsku kontrakty.

Ale malarza nie znaleziono. Jest nadal poszukiwany, nie jest też pewne, czy nie przysnął za granicę. On, zdaniem plenipotentów, zabrał wszystkie pieniądze otrzymane za węgiel.

Czy tak jest w rzeczywistości — trudno powiedzieć. Póki malarza nie ma, niejawni wspólnicy mogą składać na jego barki całą winę.

Lecz policjanci są pewni, że ten artysta stał się ofiarą przestępczych machinacji, że kupiono go za niewielką kwotę. Może to zrozumie i sam przyjdzie do policji.

Pozostaje ocena samej transakcji. Czy jest możliwe, by ktoś z kierownictwa kopalni, odpowiedzialny za finalizację kontraktu z firmą Stanisława Sz., wykazał tyle naiwności? Czy podpisując umowę opiewającą na dwanaście miliardów złotych (starych) nie uznał za wskazane wysłać kogoś do łagowa i sprawdzić realną wartość majątku zabezpieczającego dług?

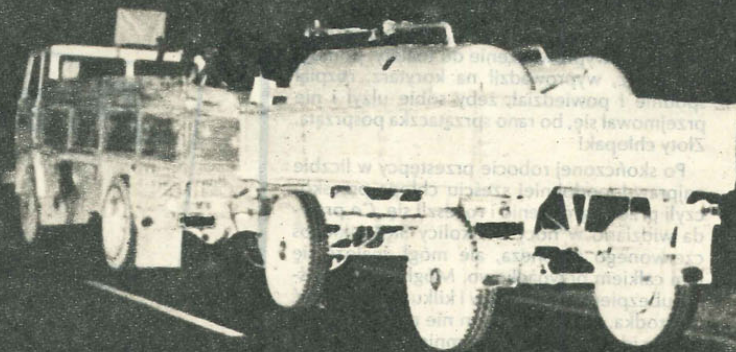
Na te pytania brak w tej chwili odpowiedzi. Może udzieli ich ukrywający się artysta Stanisław Sz. Oczywiście, jeżeli jest w kraju i... jeśli żyje.

EDWARD NOWAK

Sukcesem policji z Piotrkowa Trybunalskiego zakończyła się niedawno akcja przeciwko złodziejom paliwa kradzionego... bezpośrednio z rurociągu.

Ten rurociąg albo raczej setki kilometrów krzyżujących się ze sobą w centralnej Polsce rurociągów, którymi tłoczy się ropę, gaz, benzynę w różne strony kraju, jest bardzo „dziurawy”.

Coraz więcej jest spryciarzy, którzy wiedzą, w jaki sposób dostać się do niego, aby czerpać olej napędowy czy etylinę, odsprzedawane potem do „zaprzyjaźnionych” stacji benzynowych. Jednostki policji w województwach: płockim, wrocławskim, bydgoskim, piotrkowskim, gdańskim od chwili zbudowania rurociągu co rusz otrzymują zgłoszenia o kradzieży paliw.



Darmowe paliwo



AKCJA „ODWIERT”

Kiedy więc dyżurny KWP w Piotrkowie Trybunalskim został powiadomiony przez dystrybutora stacji paliw w Kolaszkach o znacznym spadku ciśnienia paliwa w rurociągu „Przyjaźń” na odcinku Kolaszki—Piotrków, co oznaczało, że dokonano odwiertu i odbywa się nielegalne tankowanie paliwa, natychmiast ogłosił akcję „Odwiert”. Czynności pod tym kryptonimem były wiele razy ćwiczone, a oznaczały m.in. system powiadamiania, blokad, kontrolę rurociągu oraz przyległych dróg przez jednostki terenowe itp. Tym razem nie był to alarm ćwiczebny, lecz prawdziwa akcja.

Pierwsi „namierzili” złodzieje paliwa policjanci z komisariatu w Tusznynie. Zlokalizowali oni samochód ciężarowy typu cysterna, który jechał drogą pilotowany przez białego forda escorta z gdańską rejestracją. Dwuosobowy patrol był zbyt mały, aby podjąć ryzyko

zatrzymywania przestępców. Policjanci jechali więc tylko za tymi pojazdami obserwując je i czekając na przystąpienie do akcji większych sił. Wspólną z policjantami łódzkimi blokadę zorganizowano na przedmieściach Łodzi. Zatrzymano cysternę i forda oraz jadących nimi trzech mężczyzn. Zostali

oni aresztowani przez prokuratora pod zarzutem włamania i kradzieży 22 000 litrów oleju napędowego wartości około 19 000 nowych złotych. W trakcie śledztwa przyznali się, że podobnego „włamania”, polegającego w tym przypadku na wykonaniu odwiertu w rurociągu i zamontowaniu zaworu, dokonali miesiąc wcześniej w sąsiednim województwie płockim.

PALIWO Z WŁASNEGO KRANU

Zatrzymani nie byli pierwszymi ani ostatnimi amatorami darmowego paliwa. Nielegalne odwierty ujawniane były wcześniej i są ujawniane nadal. Fontanna ropy wytrysnęła wskutek nielegalnego odwiertu w 1993 roku w woj. skierniewickim, podobnie było w woj. piotrkowskim. W województwie gdańskim wykryto 260 nielegalnych odwiertów na... zaledwie 6-kilometrowym odcinku rurociągu. Przechodził tam przez tereny ogródków i każdy działkowicz miał w altance własny „pobór” paliwa.

Z operacyjnych policyjnych źródeł wiadomo, że istnieje specjalna grupa, która na zlecenie wykonuje nielegalne odwierty. Kosztuje to 200—300 milionów złotych. Koszt zwraca się wielokrotnie, bo wystarczy zatankować jedną cysternę, a wartość paliwa przekroczy ową sumę. Często po kilkakrotnym wykorzystaniu odwiert sprzedawany jest kolejnym chętnym.

Do nielegalnych odwiertów przestępcy wybierają miejsca w miarę odludne, zalesione, ale z dobrym dojazdem. Odkopują rurociąg i wbijają w niego w odpowiednim miejscu rurkę zakończoną specjalnym zaworem. Potem wystarczy już tylko podłączyć się do tego węzłem strażackim.

Ustalenie sprawców tego przestępstwa jest bardzo trudne, trzeba ich bowiem złapać na gorącym uczynku. W komendach policji istnieją specjalne plany alarmowe na wypadek informacji o nielegalnym odwiercie. Podobnie jak w ostatnim przypadku w woj. piotrkowskim udawało się to także wcześniej policjantom z innych województw.

W 1993 roku policja płocka, wspólnie z pracownikami Przedsiębiorstwa Eksploatacji Ropy Naftowej, znalazła miejsce nielegalnego odwiertu. Było to w Piaskach, na terenie starej żwirowni nie opodal lasu. Po obejrzeniu odwiertu eksperci z PERN-u, porównując go z kilkoma innymi wcześniejszymi przypadkami, stwierdzili, że jest on dziełem fachowców. Ciśnienie w rurociągu spadało zawsze we wtorki i w czwartki, co oznaczało, że w te dni złodzieje kradną paliwo.

Przygotowano zasadzkę. Okolicę miejsca odwiertu poddano starannej obserwacji już dobę wcześniej. W czwartek około 2.00 w nocy na teren starej żwirowni wjechała cysterna. Trzej mężczyźni szybko odkopali zawór i podłączyli węze. Policjanci ukry-

Firma **INTER • ARMO** poleca

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWĄ

wszystkich typów

amerykańskich latarek MAG LITE

Zamówienia telefoniczne 27-26-01 (11.00–18.00), fax 40-78-20
lub listownie 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 12

ci byli w lesie, ponad 500 metrów dalej, ustawione w odpowiednich miejscach radiowozy blokowały drogę odjazdu. Policjanci czekali, aż złodzieje zakończą tankowanie, jakiegokolwiek działania w trakcie groziły bowiem spowodowaniem katastrofy wybuchu. Gdy po dwóch godzinach cysterna zakończyła tankowanie i chciała odjechać, policjanci przystąpili do akcji. Ukształtowanie terenu i ciemności działały na ich niekorzyść, ukryci byli bowiem dość daleko od miejsca tankowania. Z tego powodu udało się zatrzymać tylko cysternę z kierowcą. Pozostali zbiegli.

W cysternie znajdowało się 37 tys. litrów oleju napędowego wartości 216 milionów złotych. Straty ekologiczne w tym rejonie obliczono później na ponad miliard.

Zatrzymana cysterna okazała się własnością pewnej prywatnej spółki z Malborka zajmującej się transportem oraz... dystrybucją paliw. Dwa tygodnie później zatrzymano dwie osoby biorące udział w kradzieży paliwa z nielegalnego odwiertu, miesiąc później dwie następne. Właściciel spółki Edward B. jeszcze tej samej nocy, kiedy wpadł jego kierowca, spakował manatki i wyjechał do rodziny w Niemczech. Przez kilka miesięcy poszukiwany był listem gończym przez Interpol, aż wreszcie i on został zatrzymany.

Jak się okazało, Edward B. od dawna kupował olej napędowy od złodziei. Była to dobrze zorganizowana grupa z województwa gdańskiego, która dokonywała odwiertów z rurociągu i z takiego „własnego” odwiertu sprzedawała kradzione paliwo. Edward B. dawał tylko cysternę z kierowcą. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że właściwie, skoro wie, gdzie znajduje się odwiert i jak otworzyć zawór, może zatankować cysternę bez pośredników. I bez opłaty. Wziął więc kilku swoich ludzi i wybrał się do Piasków. W ten sposób złodzieje zaczęli okradać innych złodziei. Pan B. skorzystał z odwiertu 12 razy. Trzynasty okazał się ostatnim.

BENZYNĄ PO OCZACH

Podobnego pecha mieli w ubiegłym roku złodzieje paliwa, którzy tankowali je z nielegalnego odwiertu w Seroczkach w województwie wrocławskim. Pierwszym sygnałem istnienia nielegalnego odwiertu był spadek ciśnienia w rurociągu wykazany przez przyrządy. Inspektorzy PERN-u podjęli penetrację terenu przy użyciu helikoptera. W miejscowości Seroczki zobaczyli charakterystyczną dużą plamę w polu i rowie oraz częściowo na jezdni, co wskazywało, że paliwo już zostało pobrane i na jezdni przelało się z cysterny. Natychmiast powiadomili policję, która zorganizowała blokadę dróg. Kilka godzin później na trasie koło Świecia policjant ruchu drogowego zatrzymał do kontroli cysternę. Jej kierowca nie miał żadnych dokumentów na przewożone paliwo, którego było 20 tysięcy litrów.

Cysterna pilotowana była przez samochód osobowy, który kilkanaście minut później również zatrzymała policja w wyniku pościgu. Obaj sprawcy

zostali aresztowani. Pochodzili z Gdańska, a jeden z nich był... pracownikiem PERN-u.

W województwie wrocławskim miała w ub. roku miejsce kradzież paliwa również inną techniką. W miejscowości Pomiany sprawcy nie robili odwiertu, lecz podłączyli się do zaworu bezpieczeństwa na stacji pośredniej. Był to teren ogrodzony, ale nie strzeżony. Ich prawie dwugodzinny pobyt na stacji pośredniej nie wzbudzał żadnych podejrzeń, brano ich za pracowników PERN-u. Kiedy się zorientowano, że to złodzieje, sprawcy już zdążyli wyjechać. Policja weszła za nimi pościg. Podczas zatrzymywania na trasie jeden ze złodziei, chcąc uciec kontrolującemu policjantowi, skierował na niego przez gumowy wąż strumień benzyny. Policjant odniósł na szczęście tylko lekkie obrażenia, a sprawcy zostali zatrzymani.

SKAŻONE ŚRODOWISKO — ZŁODZIEJE NIEZNANI

Niestety, więcej jednak jest przypadków, gdy policji nie udaje się ani namierzyć, ani zatrzymać złodziei paliwa. Tak było w 1992 roku w Rembielinie w woj. plockim, gdzie na skutek odwiertu ropa wyciekła na pola i stała w kałużach tak dużych, że miejscowi mieszkańcy czerpali ją wiadrami.

Ci, którzy dokonali odwiertu w rurociągu, popełnili ogromny błąd — zaczęli brać paliwo wówczas, gdy odbywa się tłoczenie. Potężne ciśnienie wypchnęło prymitywne urządzenia i wytrysnął strumień nie do opanowania. Sprawcy uciekli zostawiając lejącą się na pola ropę. Do dziś nie udało się ich ustalić...

Skażenie środowiska spowodowane wyciekami było ogromne. Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągów Naftowych w Płocku musiało zapłacić 4 miliardy złotych za rekultywację skażonych terenów.

Podobnie było w marcu br. w Gniewkowie w województwie bydgoskim. Miejscowi rolnicy zauważyli wyciek paliwa z rejonu podstacji i natychmiast powiadomili policję i PERN. Inspektorzy PERN-u stwierdzili istnienie w rurociągu nielegalnego odwiertu. Wezwana straż pożarna całą noc wypompowywała zgromadzony w zagłębieniu terenu olej napędowy. Z rurociągu wyciekło około 100 tysięcy litrów paliwa, z czego ponad 20 tysięcy wsiąknęło w ziemię. Skażone zostało ponad 3 tysiące metrów kwadratowych ziemi, której nie można będzie uprawiać przez 8 lat. Straty paliwa wynoszą ponad miliard złotych, koszt rekultywacji gruntów oblicza się na ponad 6 miliardów...

Sprawców tych tragedii na razie nie znaleziono i nic nie wskazuje, aby — skoro nie złapano ich na gorącym uczynku — udało się ich ustalić później.

ELŻBIETA SITEK

AMFETAMINA W STODOLE

Jeszcze do niedawna naszą narodową specjalnością eksportową były statki, węgiel i ziemniaki. Dziś zaczynamy słynąć w świecie z eksportu towaru, który — aczkolwiek pierwszorzędnej jakości i rozchwytywany w specyficznej branży — zaszczycu nam nie przynosi. Chodzi bowiem o amfetaminę. Propagandowy slogan „Polak potrafi!” sprawdza się znakomicie.

Z początkiem czerwca br. silna ekipa policjantów z gdańskiej KWP dokonała likwidacji nielegalnej wytwórni amfetaminy we wsi Zalesie, w gminie Sempolno Krajeńskie w województwie bydgoskim. Akcja odbyła się według wzorów z najlepszego filmu sensacyjnego. Po dokładnym rozpoznaniu topografii terenu i usytuowania budynków pod zabudowania Stanisława S. podjechały z różnych stron radiowozy z ekipą antyterrorystyczną na przedzie.

W stodole osaczono kompletnie zaskoczonych trzech mężczyzn, zajętych produkowaniem amfetaminy. Podczas przeszukania pomieszczeń, szop, obory, a także kanału garażu znaleziono poukrywane części specjalistycznej aparatury, odczynniki i półprodukty do wyrobu odurzającej substancji. Zarekwirowano również 7 litrów roztworu siarczanu amfetaminy, z którego można było uzyskać 4 kilogramy czystej amfetaminy do sprzedaży hurtowej. Ponieważ w detalu „amfa” krąży w postaci mieszaniny z nośnikiem w proporcji „pół na pół”, można sobie wyobrazić, ile gramowych torebeczek z owym specyficznym trafikiem do rąk narkomanów i jakie zyski osiągnęliby producenci oraz dealery. Stanisław S. naiwnie tłumaczył, że w stodole uruchomił produkcję granulatu pianki poliuretanowej czy też silikonowej.

Badania przeprowadzone przez nadkomisarza Janusza Nowaka z Laboratorium Kryminalistycznego KWP w Gdańsku wykazały, że aparatura chemiczna wykonana została sposobem samodzielnym, lecz jednocześnie wysoce profesjonalnie. Skonstruowano ją z grubych kwasoodpornych blach zdolnych wytrzymać wysokie ciśnienia. Nieodłączną część stanowią kompresory. Znaczący oszacowali, że korzystając z tej maszyneryi można było w jednym cyklu produkcyjnym uzyskać 100 kilogramów wyrobu gotowego. W ciągu doby schodziło „z linii produkcyjnej” 15 kilogramów „amfy” w postaci czystego związku. Nauczył ich jednak ktoś inny, znający tajniki syntezy wieloetapowej i wiedzący, jak zdobyć surowce. A są one dostępne w naszym kraju.

Amfetamina. Właściwa nazwa związku brzmi: 2-amino-1-fenylpropan. Posiada postać gęstej, oleistej cieczy, ale najczęściej występuje w postaci siarczanu o skomplikowanym wzorze chemicznym $(C_9H_{13}N)_2 H_2SO_4$. Przypomina on zwyczajny proszek do prania, sproszkowany cukier czy mąkę. Z dwiema ostatnimi substancjami zresztą jest rozrabiana i zażywana. Działa na ośrodkowy układ nerwowy, a jej zażywanie doustnie lub przez iniekcję prowadzi do uzależnienia psychicznego typu kokainowego.

Amfetamina stała się modna nie tylko w kręgach narkomanów, ale jest także zażywana przez studentów, żołnierzy w działaniach bojowych, sportowców.

Amfetamina nie ma nic wspólnego z „kompotem” czy innym paskudztwem powodującym uzależnienie psychiczne i fizyczne biorcy. Nie ma po jej zażyciu bólów, nie występują cięgi abstynenckie. Ale przez ustawę o zapobieganiu narkomanii zaliczana jest do grupy środków psychotropowych, powoduje bowiem uzależnienia podobne jak przy używaniu barbituranów.

Na całym świecie amfetamina wycofywana jest ze spisów leków. Tylko jedna jedyna firma w Bazylei ma pozwolenie WHO na legalne produkowanie związku do celów medycznych i badawczych.

Policja dysponuje metodami wykrywania amfetaminy. W Zalesiu, zaraz na miejscu, posłużono się testem „Narcotes” należącym do zestawu identyfikatora substancji „FORTA-PAO”. W warunkach laboratoryjnych jest wykazywana metodami chromatografii gazowej, spektrometrii w podczerwieni oraz reakcjami barwnymi klasycznej analizy jakościowej.

Sprawcy zostali tymczasowo aresztowani. Nie wiadomo na razie, na czyje zlecenie pracowali oraz dokąd i jakimi kanałami miała odbywać się dystrybucja amfetaminy. Z pewnością ciłonny jest narkotykowy rynek krajowy, ale wiadomo, że nasza „amfa” przepływa też i na Zachód, i na Wschód. Nie darmo kabaret „Kof Polska” w swym countrowym przeboju śpiewa o kierowcy wielkiej ciężarówki, szmuglującym przez granice krasnale, które „zamiast z gliny zrobione są z amfetaminy”. Polak rzeczywiście potrafi.

ADAM K. PODGÓRSKI



Początek tej historii sięga 1993 roku, ale do dziś nie doczekała ona finału, mimo rozszyfrowania przez policjantów z KWP w Lesznie Wielkopolskim tajemnicy ponurej zbrodni i ujawnienia jej sprawcy. Jest nim bowiem Ukraińiec, ukrywający się przed sprawiedliwością najpierw w Polsce, potem w Niemczech, wreszcie w swym ojczystym kraju.

UKRAIŃSKI ZABÓJCA

13 stycznia 1994 roku robotnicy wycinający drzewa koło wsi Laskowa, w nadleśnictwie Góra, znaleźli szczerbatek ludzkiego ciała. Była to dłoń z przedramieniem i resztkami mięśni, przywleczone i ogryzione przez lisy. Policyjna penetracja lasu pozwoliła odkryć w odległości 80–90 metrów mogiłę. Spod zmarzniętej ziemi wystawała kość ramieniowa. Zupełnie płytko leżało ciało młodej kobiety, ubranej tylko w czarną sukienkę, majtki i stanik — zsunięty zresztą pod szyję, prawdopodobnie wskutek przeciągania zwłok po podłożu za nogi.

Sekcja zwłok ujawniła mechanizm zgonu — zakłucie ostrym narzędziem. Stwierdzono pięć ran kłutych w obrębie klatki piersiowej. Zabita, licząca nie więcej niż 25 lat, nie posiadała przy sobie żadnych dokumentów lub innych przedmiotów mogących pomóc w identyfikacji. Rozpoczęły się żmudne ustalenia operacyjno-dochodzeniowe. Uzyskiwane fragmenty wiadomości poczęły w pewnej chwili układać się w łańcuch logicznych poszlak. Ludzie szepotali, że mniej więcej w lipcu 1993 roku w okolicach Góry przepadło małżeństwo — Rosjanie

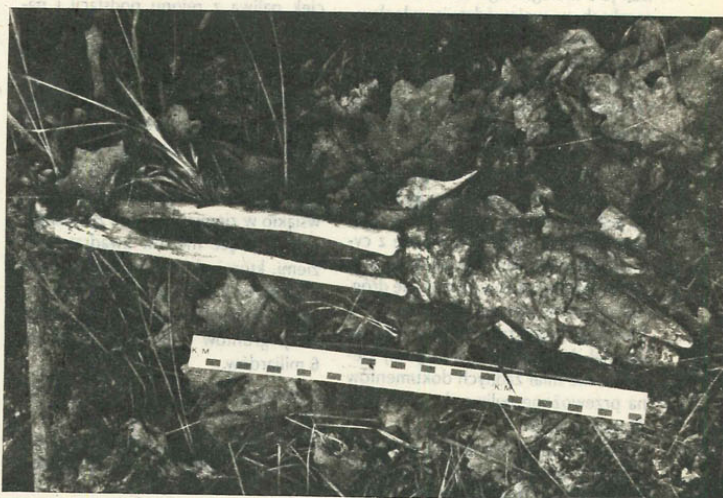
z Nowosybirsk. Odwiedzali te strony już od dwóch lat, prowadząc, jak dziesiątki ich pobratymców, handel obwoźny. Udało się ustalić, że byli to Nadia i Władimir Osipowiczowie. Wpadli do Góry na kilka dni, zatrzymali się u zaprzyjaźnionego gospodarza. Spali w samochodzie, zielonym audi 80. We dnie znikali w rozjazdach po sąsiednich miejscowościach. Ktoregoś ranka zniknęli ostatecznie i nikt by o nich nie wspomniał, handlowali bowiem aż od Śląska po Poznań, gdyby nie pogłoski, że zostali bezwzględnie zgładzeni.

Przed policją stanęło sprawdzenie tej hipotezy. Czy ciało wygrzebane pod Laskowem jest rzeczywiście ciałem Nadii Osipowicz? A może Osipowiczowie żyją. Jeśli tak, to gdzie ich szukać? Jak wyglądają? Ślady wiodły na Śląsk.

— Przy pomocy bytomskich policjantów dotarliśmy do hotelu w Łagiewnikach, zajmowanego w całości przez osoby rosyjskojęzyczne — wspomina nadkomisarz Tadeusz Cieślak, starszy specjalista w Wydziale Dochodzeniowo-Sledczym KWP w Lesznie. Nazwiska Osipowiczów widniały w dokumentacji meldunkowej wraz z adnotacją, że wyjechali i przepadli.

Ich rzeczy oddano do depozytu, pokój wynajęto nowym przyjeźdnym. Ale wyprawa na Śląsk dała istotny plon. Przede wszystkim uzyskano nieomal całkowitą pewność, że odkopana kobieta to Nadia. Koleżanka Żezaria rozpoznała na niej swoją własną sukienkę, którą tamtej pożyczyła na wy-

jazd. Z przedmiotów Osipowiczów, zwłaszcza ze szczotki, pozyskano próbki włosów do badań porównawczych. Uzyskano wreszcie ich adresy domowe, co pozwoliło na wystąpienie do policyjnych władz rosyjskich o nadestanie zdjęć do porównań z czaszką, dokonywanych metodą



superprojekcji, oraz do określenia w miarę możliwości grupy krwi zabitej. Pokuszono się bowiem o zbudowanie formuły serologicznej denatki na poziomie DNA.

Uzyskano w końcu, co najistotniejsze, ważne sugestie wskazujące na przypuszczalnego zabójcę. Miał nim być Wasilij Bubliński, Ukrainiec zaprzyjaźniony z Osipowiczami z racji wspólnych interesów. Władimir przejawiał „łeb” do handlu. Dorobiwszy się kupił na giełdzie w Tychach dwa samochody audi na niemieckich numerach rejestracyjnych. Jeden zielony, drugi czerwony. Pewnego dnia czerwone audi skradzione sprzed hotelu w Łagiewnikach odnalazła policja w Chorzowie. Bubliński zaoferował pomoc w znalezieniu taniego parkingu strzeżonego i osobiście odprowadził nań odzyskany samochód.

W parę dni po wyruszeniu Osipowiczów w Leszczyńskie, otoczenie spostrzegło, że Bubliński jeździ tym czerwonym autem. Na pytania, skąd je ma — Bubliński odparł krótko: — Zamknijcie mordy, bo jak nie, to pójdę na policję i opowiem o waszych lewych przekrętach! Umilkli zastraszeni, zapłaciwszy mu dodatkowo za milczenie 3 miliony złotych.

Wkrótce Bubliński zniknął z Łagiewnik. Pojechał do Góry, gdzie wraz z żoną zameldowany był na pobyt czasowy. Żona spostrzegła u niego wielki, masywny scyzor, którego wcześniej nigdy nie posiadał. Prawdopodobnie nawiązał kontakt z Osipowiczami i zamordował ich. Czy jednocześnie, czy każdego z małżonków oddzielnie, nie wiadomo. Dotąd nie odnaleziono ciała Władimira.

Do Łagiewnik wrócił Bubliński zielonym audi Osipowiczów. Naprawił je u mechanika. Pojechał ponownie do Góry i tam, jako własne, odsprzedał auto pewnym Białorusinowi. Policja białoruska dotarła do nabywców, braci Lewinów z Rohaczowa i okazała im przekazane przez Polaków zdjęcia Bublińskiego oraz jego kompanów Skirguńca i Mozgira. Wszyscy zostali rozpoznani.

Tymczasem oni sami przedostali się bez paszportów do Niemiec. Tutaj Bubliński wpadł w ręce policji, która nie wiedząc, że w Polsce „przymierzany” jest do sprawy o zabójstwo, ekstradowała go na Ukrainę. Bubliński ma odpowiadać z wolnej stopy. Wykorzystał tę okoliczność, aby się ukryć. Gdzie? Nikt nie wie. Może w ojczyźnie, może w którymś z państw byłego ZSRR.

W grudniu Prokuratura Wojewódzka w Lesznie przedstawiła wniosek o przekazanie sprawy organom policji Republiki Ukrainy. Nadal Wasilij Bubliński i Witalij Skirguniec poszukiwani są też listami gończymi na terytorium Polski. Policja żywi nadzieję, że zabójcy nie ujdą sprawiedliwości. Wtedy też być może zostanie zlokalizowana leśna mogiła kryjąca szczątki Władimira Osipowicza.

ADAM K. PODGÓRSKI



Z BRONIĄ NA MASAŻ

Letniego poranka, około czwartej, w salonie masażu dla panów — jak reklamuje charakter usług stojąca na zewnątrz sporej wielkości tablica — pod egzotycznie brzmiącą nazwą „El Chico”, mieszczącym się w stylizowanym na hacjendę domku na Osiedlu Piątkowo w Poznaniu, nie było wielu klientów. Ci nieliczni spędzali miłe chwile z masażystkami w wydzielonych pokojach. W saloniku, którego centralnym miejscem był nastrojowo oświetlony drink-bar, oprócz barmanki był ochroniarz, 36-letni Tomasz L. W pewnej chwili pojawiło się trzech gości. Elegancko ubrani, pachnący dezodorantami najlepszego gatunku młodzi ludzie usiedli przy barze i zamówili alkohol zachodniej marki. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Jeden z nich, obejrzawszy się na siedzącego w głębi Tomasza L., zwrócił się do barmanki z następującym pytaniem:

— Czy ten pan jest klientem?

— Nie to nasz pracownik — odparła zapytana. Upłynęło kilka minut. Gość, który zadał barmance pytanie, odszedł od baru i zbliżył się do ochroniarza. Zapytał go, czy mógłby zatelefonować w pilnej sprawie.

— Oczywiście, telefon jest w kantorku służbowym. Zaprowadzę pana — powiedział Tomasz L. Za ledwie opuścili salonik, ochroniarz został silnie i niespodziewanie pchnięty na ścianę. W rękę „gościa” zobaczył pistolet.

— Darek! On ma broń! — krzyknął usiłując wyrwać niebezpieczny przedmiot z ręki napastnika. Z pomocą nadbiegł Dariusz G., lat 35, drugi z zatrudnionych w lokalu pracowników ochrony. Prawdopodobnie we dwóch rozbroiliby uzbrojonego nieznajomego, gdyby tego ostatniego nie wspomógł jeden z jego kolegów. Był uzbrojony w długi metalowy przedmiot przypominający bagnet.

— Wy dwaj, mordy na głębie, łapy na kark! Padli na ryje, no już! — rozkazał. Barmanka krzyknęła przeraźliwie. Trzeci z „klientów” warknął, aby się zamknęła. Stał przy barze z ręką wsuniętą w głąb kieszeni. Kiedy z bocznych drzwi wyrzła przerażona twarz jednej z masażystek, mężczyzna ten zawołał:

— Nie wchodzi tu, chcesz zginąć?

Tymczasem dwaj ochroniarze, po chwili wahania zdecydowali się podjąć walkę. Niestety, jej skutki okazały się dla nich tragiczne. Obaj nieznajomi potrafili posługiwać się bronią, którą dysponowali. Huknęły strzały, bagnet zadał kilka

pchnięć. Tomasz L. runął na podłogę. Dariusz G. zdołał wybiec do ogrodu, gdzie obficie brocząc krwią upadł na trawnik. Trzej mężczyźni szybkim krokiem opuścili lokal. Wsiadli do stojącego w pobliżu ciemnogranatowego samochodu zachodniej marki, który natychmiast ruszył. Wtargnięcie pojazdu na jezdnię było tak szybkie i nagłe, że o mało nie doprowadziło do kolizji z nadjeżdżającym polonezem. Jego kierowca, ratując się przed groźną stłuczką, wykonał gwałtowny ruch kierownicą. Polonez wypadł z drogi na pobocze i zatrzymał się z przeraźliwym piśkiem hamulców.

Tymczasem w „El Chico” panowała panika. Nieliczni klienci wyskakiwali przez okna z częściami garderoby w rękę. W ich ślady, tyle że za pośrednictwem drzwi, udała się większość personelu. Jedynie barmanka, w miarę panując nad swoimi emocjami, udzielała pierwszej pomocy rannym usiłując zatamować krwawienie. Ona także wezwała pogotowie i policję. Rany Dariusza G. okazały się śmiertelne. Zmarł tam, gdzie upadł, na trawniku, wkrótce po przybyciu lekarza. Tomasza L. zabrano do szpitala. Jego stan był ciężki, choć bezpośrednio nie zagrażający życiu.

Barmanka podała dokładne opisy sprawców. Ten, który wypytywał ją o Tomasza L., mówił z wyraźnym akcentem wschodnim. Według jednej z przyjętych przez policję

hipotez mógł to być zamach na życie tego właśnie ochroniarza. Napastnicy mogli opuścić „El Chico” w przekonaniu, że ich ofiara nie żyje. Natomiast śmierć Dariusza G. mogła wynikać z rozwoju wypadków. Zostawił on żonę i dwoje dzieci. Przez cały okres pobytu w szpitalu Tomasz L. miał policyjną ochronę.

— Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby chcieć mnie zamordować — powiedział, kiedy lekarz zezwolił mu na złożenie zeznań.

W prasie poznańskiej pojawiły się spekulacje na temat motywów, które doprowadziły do tragedii w salonie masażu. Jedną z gazet wystąpiła z „sensacją”, iż strzały w „El Chico” były wynikiem porachunków gangsterskich na tle rozliczeń o handel narkotykami. Zapytałem o zdanie w tej sprawie prowadzącego śledztwo funkcjonariusza. Odparł:

— Te „rewelacje” są wysysane z palca. Nie mamy najmniejszych poszlak, nie mówiąc o dowodach, potwierdzających zasadność głoszenia tego typu informacji.

Prowadzący śledztwo policjanci są bardzo powściągliwi, jeśli chodzi o szcharakteryzowanie tropu, którym posuwają się działania operacyjne. Sprawa ma przecież charakter rozwojowy. Być może jeszcze do niej powrócimy.

PIOTR KITRASIEWICZ
zdj. autor

Radio dla Ciebie
MAGAZYN MOTORYZACYJNY
WARSZAWA
tel. 44 95 35
FM 67.94 68.03 72.53 92

GIPSOWA SZOSA

Wystarczyło, że po tygodniach letniego skwaru popadało trochę nad Śląskiem, by wielu kierowców dało popis braku ostrożności, oprowadzania czy zwykłego rozsądku. Posypały się stłuczki i wypadki. Rankiem 8 sierpnia na drodze ekspresowej A-1 w Sosnowcu wydarzyły się dwa groźne, niecodzienne karambole.

Tuż po godzinie ósmej jadący w deszczu kierowca półciężarowego mercedesa wpadł w poślizg. Próby oprowadzania auta nie powiodły się. Mercedes hamując „zatańczył” po jezdni. Wtedy wpadł na niego fiat 126p, a za moment fiat 1500. Na unieruchomione trzy samochody najechał z dużą prędkością kamaz.

Skutki były fatalne. Zarówno maluch, jak i duży fiat zostały doszczętnie rozbite. Największe obrażenia odnieśli mężczyźni podróżujący fiacikiem. Jeden doznał złamania kości miednicy, drugi wielokrotnych urazów. W chwili udzielania pierwszej pomocy stan jego określano jako krytyczny. Mimo interwencji chirurgicznej poszkodowany zmarł w szpitalu. „Ekspresówka” przez ponad godzinę była nieprzejezdna.

Mercedes, „sprawca” tragedii, miał zupełnie zdarte opony. W wypełnionych wodą koleinach po prostu ślizgał się niczym na łyżwach.

Trochę wcześniej na tej samej drodze, ale na nitce biegnącej z Warszawy do Katowic, urwały się dwa koła innego kamaza, wyładowanego po brzegi 10 tonami gipsu. Z nacpey wypadło na jezdnię około 50 worków. Rozsypany gips w zeknieniu z deszczówką począł reagować we właściwy sobie sposób. Wkrótce na asfalcie utworzyła się skamieniała skorupa.

Strażackie sekcje ratownictwa drogowego przez kilka godzin borykały się z zadaniem usunięcia tejże bryi. Usuwano gipsową warstwę łopatami, miotłami, nawet szpachelkami. Kiedy policja dokonała oględzin kamaza należącego do przedsiębiorstwa „Kamil”, wyszedł na jaw fatalny stan techniczny wozu. Dowody rejestracyjne samochodu i przepisy, warunkowo dopuszczonych do ruchu, straciły ważność przed paroma dniami. Auto nie było ubezpieczone w zakresie OC. Kierowca, który w jeżdżące trumnie wyruszył z Belchatowa i przebył pół Polski, posiadał prawo jazdy zaledwie kategorii „B”, zamiast wymaganej „E”. Opony auta były „łyse”. Do tego dochodził niesprawny układ spalania paliwa. Odpadnięcie kół, poprzedzone wystrzałem opon, spowodowało jednak nadmierne obciążenie pojazdu.

Podobnego zbiegu karygodnych zaniedbań i naruszeń przepisów o ruchu drogowym zaiste nie można nawet wymyślić. Rzeczywistość ma jednak to do siebie, że niekiedy przerasta wyobrażenia. Ileż podobnych kamazów i mercedesów o fatalnym stanie technicznym, kierowanych przez amatorów, krąży co dzień na naszych drogach?

AKP

OSOBOWOŚĆ KRYMINALNA SPRAWCÓW

RABUS (rozbójnik)

Jest szczególnie groźnym przestępcą, łączącym w swojej osobowości cechy złodzieja, nierzadko także oszusta oraz gwałtowność w działaniu. Poza ową gwałtownością rozbójnik odznacza się odwagą, znaczną siłą fizyczną i wielką ruchliwością. Z reguły jest „dumny” z tego, że może zaangażować całą swoją siłę, by tylko osiągnąć zamierzony cel. W kontaktach towarzyskich (wśród zaufanych osób), a także w śledztwie (jeżeli zdecydował się mówić) ze znaczną spontanicznością — wręcz lubością i swadą — opowiada o detalach o dokonanej zbrodni, przy czym najczęściej lubuje się „w odtwarzaniu” zachowania i stanu ofiary („zalał się krwią, plunął krwią, upadł, błagał o litość” itp.).

W zakładach karnych omawiana grupa przestępców, zwłaszcza recydywistów — to „elita” więzienna. W rozmowach z takimi ludźmi — podczas wizytacji zakładów karnych — wyczuwa się złość, rozgorzczenie i żądę zemsty w stosunku do społeczeństwa i porządku prawnego — prześladowającego rozbójników przy pomocy swoich „pedantycznie i stroniście” — ich zdaniem — stosowanych ustaw”. Jest w tym rozumowaniu coś racjonalnego, ustawodawca przewidział bowiem w aktualnie obowiązującym kodeksie karnym aż 3 postacie omawianego przestępstwa. Pierwsza przewidziana w art. 209 k.k., to kradzież rozbójnicza. Jest to prze-

stępstwo na pograniczu kradzieży i klasycznego rozbój — sprawca po dokonaniu kradzieży używa gwałtu (przemocy) lub groźby użycia takiego gwałtu na osobie pokrzywdzonej, a czyni to w celu zatrzymania zabranego mienia.

Klasyczny rabunek (rozbój) przewiduje przepis art. 210 k.k., przy czym jego kwalifikowana postać (w § 2 użycie w celu obezwładnienia broni palnej lub innego niebezpiecznego narzędzia), zagrożona jest karą pozbawienia wolności do lat 25, a nawet karą śmierci. Istota tej zbrodni polega na tym, że sprawca całkowicie obezwładnia fizycznie lub psychicznie ofiarę (często jest to połączone ze szczególnym okrucieństwem, biciem, maltretowaniem, dręczeniem) i zabiera wartościowe przedmioty lub pieniądze. Ostatnio bardzo często ofiary takiego maltretowania umierają, wówczas mówimy o zabójstwie na tle rabunkowym. Coraz częściej statystyki kryminalne odnotowują dokonywanie zbrodni „piętrzących się” — sprawca obezwładnia, gwałci, rabuje, a dla tarcia śladów — uniknięcia odpowiedzialności — morduje.

Ostatnia wreszcie postać omawianego przestępstwa to wymuszenie rozbójnicze przewidziane w art. 211 k.k. Sprawca osiąga korzyść majątkową (z reguły pieniądze) używając groźby zamachu na życie lub zdrowie ofiary, lub też gwałtownego zamachu na jego mienie. „Obezwładniona” najczęściej psychicznie ofiara sama wskazuje miejsce lub oddaje wartościowe przedmioty.

Wobec cech rozbójnika, o których mowa wyżej, trudno jest ustrzec się przed tymi ludźmi. Atakują zniwiedza, w najmniej spodziewanym miejscu, z dużą determinacją.

Szczególne zalecenia w celu uniknięcia rabunków, oprócz znanych ostrzeżeń w radio czy telewizji, trudno zdefiniować. Jedynie co warto dodać, a raczej przypomnieć, to ostrożność, zwłaszcza w miejscach ustronnych i nocą.

oprac. STANISŁAW FLASIŃSKI

SHIHAN-

ZNACZY PROFESOR...

... i nie tylko. Ale do wyjaśnienia tego pojęcia jeszcze dojdziemy.

Początki

12 sierpnia 1952 r. w Szprotawie, małym miasteczku ówczesnego polskiego „dzikiego zachodu”, przyszedł na świat Gienek Sikora. Rodzice nie mieli z nim specjalnych kłopotów. Kiedy zaś poszedł do szkoły, wielu potrafił zadziwić swoimi szybkimi postępami w nauce. Ale że matka natura nie obdarzyła go zbyt „słuszną” posturą, w 1961 roku rozpoczął treningi judo, a potem (w dwanaście lat później) trafił do milicji.

Dążenie do celu

Kiedy w 1961 roku rozpoczął treningi — mówi z uśmiechem — wyglądało to zupełnie inaczej niż dzisiaj. Nikt nie dysponował kimonem. Judo wtedy było wielką tajemnicą i nikt z nas, chłopaków, tak na dobrą sprawę nie był pewien, do czego dojdzie ćwicząc zupełnie nowe techniki walki. Ja jednak byłem uparty i chciałem być dobry. Dlatego też postawiłem na systematyczność treningu i nie zniechęcałem się różnymi przeciwnościami losu.

Już w 1969 roku uzyskał swój pierwszy tytuł: instruktora samoobrony judo. Pierwszy stopień mistrzowski zdobył w 1974 roku, by w 1993 roku uzyskać 7 dan (a jest to jeden z najwyższych stopni wtajemniczenia w judo — gdyż tę właśnie specjalizację w miarę upływu czasu wybrał).

Dla innych

Po pięcioletnim pobycie w Zielonej Górze przeniósł się do Głogowa, gdzie w 1979 roku założył pierwszą w tym mieście sekcję samoobrony judo. Wraz z Andrzejem Treptem, Janem Braunem i Krzysztofem Kondratowiczem. Później dołączył do nich Wojciech Marczak, założyli Związek Dalekowschodnich Sportów Walki, który w 1982 roku przekształcił się w Polski Związek Karate, skupiający w sobie wszystkie uznane w Polsce style walki: 1) styl japoński: jujitsu, judo, aikido, karate, kendo; 2) styl chiński: kung-fu; 3) styl koreański: tae-kwon-do.

W 1984 roku powołał pierwszą na zachodzie Polski organizację pod nazwą Zachodnie Centrum Jujitsu — z siedzibą w Głogowie. W maju 1985 roku wrócił do Zielonej Góry, gdzie najpierw w ramach

TKKF, a potem w KS Gwardia stworzył sekcję jujitsu. Dzięki niemu do policyjnego (wtedy milicyjnego) klubu ściągały rzesze młodych zielonogórzan, którym zaszczepił szczytne idee walki obronnej. Zdobywał coraz większe uznanie. Został prezesem Okręgowego Związku Judo w Zielonej Górze — którym notabene jest do dzisiaj.

W kwietniu 1990 roku powołał do życia Polską Akademię Jujitsu z siedzibą w Zielonej Górze. Jego (nie bójmy się tego słowa) sława, poparta wysokimi i stale doskonalonymi umiejętnościami, sprawiła, że akademiam w 1992 roku została przyjęta do Światowej organizacji Jujitsu — Kobudo. Szefem Organizacji jest Japończyk Fumo Tanaka, a prezydentem międzynarodowym — Włoch Giacomo Spartaco Bertoletti. Siedziba mieści się w Mediolanie. On sam, Eugeniusz Sikora, został pełnomocnikiem organizacji w Polsce.

Parada Mistrzów Jujitsu „Polska '95”

Od 29 kwietnia do 2 maja 1995 roku Zielona Góra, na zaproszenie Zarządu Polskiej Akademii Jujitsu, Zielonogórskiego Policyjnego Klubu Sportowego Gwardia i Polskiego Policyjnego Związku Sportowego, gościła przedstawicieli najwyższych władz Światowej Organizacji Jujitsu — Kobudo z G.S. Bertolettim oraz Robertem Clarkiem (9 dan) na czele. Było też prawie 30 mistrzów z Polski. Przy tej okazji wręczono 21 nowych certyfikatów mistrzowskich, a organizatorzy imprezy uhonorowali najwyższym medalem Polskiej Akademii Jujitsu: G.S. Bertolettiego, R. Clarka, Zielonogórski Policyjny Klub Sportowy Gwardia, Polski Policyjny Związek Sportowy oraz koordynatora Akademii Zdzisława Sikorę.

Shihan — Eugeniusz Sikora

Na początku obiecałem wyjaśnić, co znaczy japońskie pojęcie „shihan”. Jest to właściwie tytuł, jaki nadaje się człowiekowi, który zdobył odpowiedni stopień wtajemniczenia w stylu jujitsu. Shihan oznacza więc: profesor, trener międzynarodowy, instruktor I klasy, posiadający 7 dan...

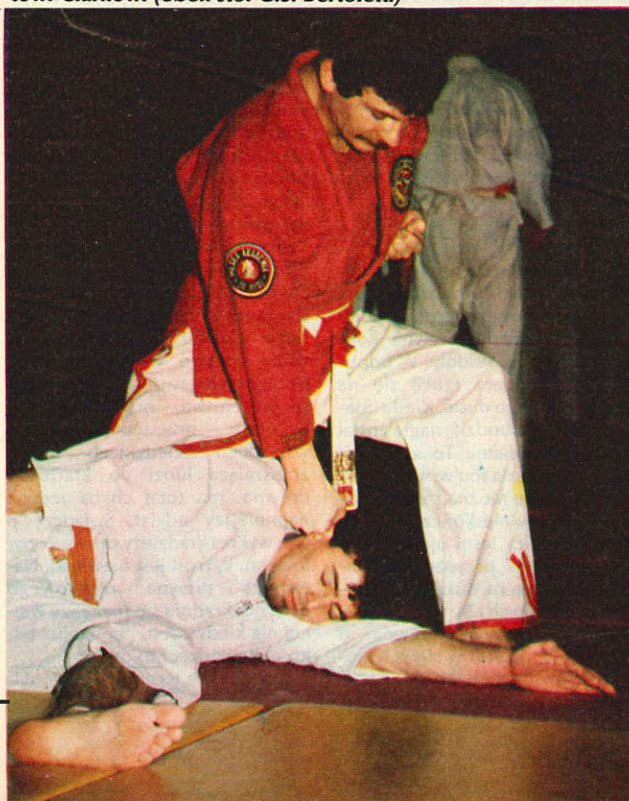
WIKTOR SZOPSKI



E. Sikora w towarzystwie swoich synów bliźniaków Macieja i Damiana (12 lat) — 1994 r.



„Parada Mistrzów — '95”; wręczenie medalu Akademii Robertowi Clarkowi (obok stoi G.S. Bertoletti)



CURTIS

10 modeli telewizorów o przekątnej ekranu od 14 do 28 cali, również z PIP

- Najwyższa światowa jakość
- Absolutna niezawodność poparta dwuletnią gwarancją i 11-letnią obecnością na polskim rynku
- Najniższe ceny, bo w sklepach bez pośredników
- Fabryczny serwis w całym kraju

CURTIS

Najlepszy zakup – to zakup z pierwszej ręki w salonach firmowych CURTIS

Warszawa	ul. Surowieckiego 8 (Ursynów obok Megasam)	Nysa	Rynek 14/15. tel. 26-88
Gorzów Wlkp.	ul. Wielkopolan 8	Ostrowiec Św.	Al. 3 Maja 1
Katowice	ul. Mickiewicza 7	Płock	DH SUPER MEX
Lublin	tel. 58-94-22; 58-60-63	Rzeszów	ul. Tumska 16
Mysłivice	ul. Zamojska 10	Szczecin	tel. 62-40-53
Nowy Targ	tel. 21-395		pl. Wolności 4
Poznań	ul. Reja 12	Tarnów	ul. Niepodległości 15
	Rynek 12		tel. 34-50-15
	ul. 27 Grudnia 17/19		ul. Wąłowa 41
	ul. Św. Marcina 51/53		tel. 21-03-83
		Kraków	ul. Włobickiego 1
			DH GIGANT

oraz w 2210 sklepach i Domach Towarowych

na terenie całego kraju, zaopatrywanych przez dealerów



Stanisław Terlecki, leśniczy z Nadleśnictwa Złocieniec, przejeżdżając swoim prywatnym maluchem przez las natknął się na wyladowaną po brzegi świeżo ściętym drewnem ciężarówkę. Kiedy podjechał w jej kierunku, ta ruszyła najszybciej, jak potrafiła, wyjechała na asfaltową drogę i jadąc zakosami nie dawała się wyprzedzić. Pościg trwał przez dobre 20 kilometrów. Nagle ciężarówka zatrzymała się. Leśniczy stanął tuż za nią, wysiadł z malucha i ruszył w kierunku kabiny. W tym momencie kierowca stara wrzucił wsteczny bieg i staranował malucha leśniczego, a następnie ostro ruszył do przodu.

Terlecki niewiele się namyślając uczepił się jadącego auta i w biegu wdrapał się na pakę. Wziął jedną z przewożonych drewnianych belek, wszedł na dach kabiny stara i kilkoma silnymi uderzeniami wybił przednią szybę w pojeździe.

Złodzieje drewna zatrzymali się gwałtownie. Leśniczy zsunął się z kabiny na ziemię. Z ciężarówki wyskoczyło trzech osiłków z sie-

kierami w rękach. Leśniczy nie miał szans. Postanowił się wycofać. Podjęty pościg nie przyniósł efektu. Następnego dnia jednak udało się ustalić miejsce parkowania ciężarówki z powybijanymi szybami. Kierowca, dwóch jego pomocników oraz nie biorący udziału w akcji szef gangu złodziei drewna zostali zatrzymani. Wszyscy będą odpowiadać z art. 213 w związku z art. 199 k.k.



SKOK na LAS



★
W Garwolinie leśniczy podczas wieczornego obchodu lasu usłyszał w oddali rąbanie drzewa. Kiedy usiłował podjechać konno w to miejsce, drogę zajął mu jakiś nieznajomy woźnica, który na jego widok zaciął konie batem i ruszył w kierunku wsi. Strażnik rozpoczął pościg. Tymczasem drogę przeciął mu inny mężczyzna i zamierzył się nań siekierą. Tylko gwałtowny ruch spłoszonego konia uratował leśniczemu życie.

Jak się później okazało, obaj mężczyźni działali w porozumieniu. Jeden stał na czatach i miał ściągnąć na siebie ewentualny pościg. Na jego wozie nie było ani kawałka drewna. Drugi wyrąbywał w tym czasie sosny i układał je na swoim zaprzęgu.

★
W Toruniu strażnik leśny doszedł po śladach prowadzących z lasu do prywatnej zagrody podejrzanego o kradzież drewna. Poprosił o otwarcie stodoły. W odpowiedzi gospodarz rzucił się na niego i zaczął go dusić. Kiedy udało mu się oswobodzić, nagle został ugodzony widłami. To żona napastnika przysłała mu w sukurs.

Przykłady te można by oczywiście mnożyć w nieskończoność. W ub. r. strażnicy leśni ujawnili ponad 16 tysięcy przypadków kradzieży drewna na dużą skalę. Złodzieje zrabowali 74 tysiące metrów sześciennych drewna o wartości 48 miliardów starych złotych. (Mówimy tu tylko o u j a w -

nionych przypadkach!). Prym na tej niechlubnej liście wiedzie rejon podległy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu. Tam właśnie skradziono ponad 12 tysięcy metrów sześciennych drewna, czyli tylko trochę mniej niż w całej Polsce w 1987 r.

Ta leśna lawina ruszyła z końcem 1989 r. Podobnie jak w innych dziedzinach przestępczości, największy skok odnotowano w 1990 r. i latach następnych. W tym właśnie okresie kradzieże drewna wzrosły czterokrotnie. Żeby było śmieszniej, trzykrotnie zredukowano w tym samym czasie liczbę strażników leśnych. Ustawa o lasach w 1991 r. zlikwidowała formację straży leśnej. Przykład typowej naszej paranoi.

Pan Zbigniew Nowak, główny specjalista ds. zwalczania szkodnictwa leśnego w Zespole ds. Obronności i Ochrony Mienia w Dyrekcji Generalnej Lasów Państwowych, przyczyną tak ogromnego wzrostu kradzieży drewna widzi właśnie w osłabieniu sił strzegących lasu, w pauperyzacji społeczeństwa, no i ogólnym wzroście przestępczości we wszystkich dziedzinach. Bieda, zmuszająca ludzi do kradzieży drewna, ma tutaj chyba jednak najmniejszy udział. Świadczy o tym wykres kradzieży drewna opałowego. Wzrost jest niewielki. Natomiast drewna użytkowego obecnie kradnie się pięć razy więcej niż kiedyś. A tu chodzi już tylko o pieniądze. I to duże.

Obecnie na terenie 13 regional-

nych dyrekcji lasów państwowych działają zorganizowane gangi zawodowo trudniące się kradzieżą drewna użytkowego. Jeszcze w ub. r. istniały w siedmiu. A jeszcze wcześniej nie było ich w ogóle. Jeden średni skok to co najmniej 5 metrów sześciennych drewna i ciężkie miliony państwowego mienia wywiezione z lasu. Trudno się więc dziwić, że przestępcy leśni niewiele się już różnią od przeciętnych bandytów strzelających lub podkładających bomby na ulicach naszych miast. Las nawet bardziej sprzyja stosowaniu jak najbrutalniejszych metod walki ze strażnikami i leśnikami. Wśród drzew jest zdecydowanie mniej świadków niż na ulicach.

To dlatego właśnie strażnicy masowo ostatnio występują o pozwolenia na broń ostrą, zostają przewożeni psami obronnymi lub... rezygnują z pracy. Tymczasem coraz to nowe rejony dostają się pod kontrolę uzbrojonych, gotowych na wszystko złodziei drewna. Jako przykład może posłużyć rejon Olsztyna czy Szczecinka, gdzie kiedyś nie było żadnych takich problemów. Teraz, kiedy w tych okolicach padły wszystkie pegeery, las dla bezrobotnych mieszkańców tych rejonów stał się jedynym sposobem na życie.

Dla tych na górze, szefów poszczególnych gangów, całkiem dostatnie. Oni nie chodzą na akcje, niczym nie ryzykują. Zgarniają tylko forszę. Do czarnej roboty mają swoich „murzynów”. A ci, zastrzymani na gorącym uczynku, prawie nigdy nie mają zamiaru się poddawać. Kiedy jednak — mimo ograniczeń przepisów prawnych — strażnikom leśnym uda się kogoś z nich zatrzymać, z pewnością nie sypną swojego szefa. Choćby dlatego, że często nawet go nie znają. Ci, którzy kradną dla siebie, na własną rękę, wpadają częściej. Czasem są nawet wystawiani przez gangi, by zlikwidować konkurencję i odwrócić uwagę straży leśnej od tych, którzy z lasu czerpią na prawdę dużą forszę.

O ich dobrej organizacji i skuteczności także świadczą liczby. W ub. r. z lasu nielegalnie wywieziono drewna za 48 miliardów starych zł. Odzyskano... za niecałe 5 miliardów. A jeszcze nie tak dawno odzyskiwano ponad 70 procent tego, co zginęło. Na razie jednak nie zanosi się na to, by tamte czasy wróciły. Las okazał się całkiem niezłą maszynką do robienia pieniędzy. Może nie aż tak wielką, jak kradzieże samochodów czy handel narkotykami, ale wystarczająco intratną, by nie zawahać się strzelić do strażnika, gdy ten nagle stanie na przeszkodzie.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. Krzysztof Potocki

POSZŁO O... POLITYKĘ

55-letni Waldemar K., od kilku lat rencista, prowadził kiosk w holu wieżowca na Osiedlu Ostrobramska. Jego 50-letni sąsiad Jerzy P. był rencistą od kilku dni. Mieszkali na tym samym piętrze i znali się dobrze.

25 lipca około godziny 22.00 wychodząc z psem na spacer żona Waldemara K. postanowiła sprawdzić, czy mąż zamknął kiosk, przyszedł bowiem do domu dość mocno pijany. Gdy okazało się, że drzwi kiosku zamknięte są tylko na klamkę, wróciła po klucze. Chwilę później zamykając sklepik zobaczyła męską nogę wystającą zza kotary oddzielającej kąt zaplecza od reszty kiosku. Odchyliła zasłonę i ujrzała leżącego na podłodze w kałuży krwi Jerzego P.

Pani K. wyszła przed blok i przez domofon poprosiła syna denata, aby zszedł na dół. Kilkaście minut wcześniej widziała chłopca, jak wchodził do budynku. Wrócił właśnie wraz z siostrą z wakacyjnego obozu. Przerażony chłopiec rozpoznał w denacie swojego ojca.

Wkrótce lekarz pogotowia stwierdził, że Jerzy P. nie żyje, a zgon nastąpił na skutek uderzenia w głowę ciężkim tępym narzędziem. Policja, która przybyła na miejsce kilka minut później, ustaliła, że ostatnią osobą, która widziała Jerzego P. żywego, był właściciel kiosku Waldemar K.

Z rozmowy z nim wynikało, że tego popołudnia pił wódkę z Jerzym P. w swoim mieszkaniu, a gdy zabrakło im papierosów, zeszli po nie do kiosku. Kiedy siedzieli tu i rozmawiali, do budynku weszło nagle trzech mężczyzn. Zauważywszy Jerzego P. wtargnęli do kiosku i jeden z nich przystawił Waldemarowi K. pistolet do głowy grożąc strzałem, jeśli będzie wzywał pomocy, dwaj pozostali natomiast wciągnęli Jerzego P. na zaplecze i tu bili go metalowym prętem. Po kilku minutach wyszli zostawiając na podłodze pokrwawionego Jerzego P. Waldemarowi K. zagroziło, że jeśli powie komukolwiek o tym, co się stało, wróci i zabije go.

Natychmiast po uzyskaniu tych informacji policja rozpoczęła poszukiwanie napastników. Podczas kiedy grupa dochodzeniowa zabezpieczała na miejscu zbrodni ślady, inne policyjne patrole, umundurowane i po cywilnemu, penetrowały okolicę. W wyniku tych działań zatrzymano trzech młodych ludzi, których rysopisy odpowiadały z grubsza opisowi przedstawionemu przez Waldemara K. Jeden z nich miał pistolet. Po sprawdzeniu alibi i wyjaśnieniu innych okoliczności zostali oni zwolnieni. Jednocześnie ze śladów zabezpieczonych na miejscu przestępstwa, informacji operacyjnych oraz na podstawie innych przesłanek zaczął się wyłaniać przebieg zdarzenia różny od tego, jaki przedstawił właściciel kiosku. Na jego spodniach znaleziono ślady krwi, w jego zeznaniu było mnóstwo sprzeczności, a wiele faktów po prostu niemożliwych w rzeczywistości. Wątpliwości było coraz więcej i zeznania Waldemara K. wyglądały coraz bardziej niewiarygodnie.

Podejrzania potwierdziły się następnego dnia, kiedy pan K. wytrzeźwiał i został ponownie przesłuchany. Wtedy okazało się, że historia o nieznanym napastnikach została zmyślona, a zabójcą Jerzego P. jest właśnie Waldemar K.

Poszło o... politykę. Obydwa panowie byli już mocno pijani i spór na tematy polityczne przerodził się w awanturę, w trakcie której Waldemar K. chwycił metalowy pręt i uderzył nim sąsiada w głowę. Kiedy ten upadł, wciągnął go na zaplecze i tu kilka razy uderzył jeszcze młotkiem. Zostawił go charczącego na podłodze, zamknął drzwi kiosku i poszedł do domu.



**Sensacje
i fakty**

Przebieg zarówno tej zbrodni, jak i działań policji na miejscu zdarzenia zupełnie inaczej przedstawił w sensacyjnym jak zwykle artykule „Super Express”. W artykule tym wyraźne są dwa wątki. Pierwszy to relacja o zbrodni, która roi się od błędów, bazuje bowiem na plotkach i domysłach, drugi, który zdaje się być ważniejszy, to działanie policji. Dziennikarka „Super Expressu” donosi, że kilkanaście minut po 20.00 syn denata wezwał pogotowie i policję. Pogotowie przyjechało po kilku minutach, zaś „pierwsi” policjanci pojawili się około 22.30. Dopiero po następnej półgodzinie przybyła ekipa dochodzeniowa.

Informacja rzeczywiście robi wrażenie. Przybycie policji na miejsce tak poważnego przestępstwa jak zabójstwo dopiero po upływie dwóch i pół godziny jest skandaliczne. Tyle tylko że to nieprawda.

Po pierwsze, syn Jerzego P. zobaczył zwłoki ojca i wezwał pogotowie o godzinie 22.00. Z jego zeznań wynika, że około godziny 21.30 dopiero wrócił do domu, nie mógł więc o 20.00, jak przedstawiła to dziennikarka, wzywać pogotowia czy policji. Dyżurny KRP Praga-Południe został poinformowany o zabójstwie na Osiedlu Ostrobramska przez dyspozytora pogotowia ratunkowego o godzinie 22.00. O godzinie 22.20 przybyły na miejsce policyjny patrol sporządził pierwszą notatkę na ten temat. Policja znalazła się zatem na miejscu zdarzenia w ciągu kilkunastu minut od chwili powiadomienia, nie zaś po upływie dwóch i pół godziny, co jest udokumentowane w aktach sprawy i książce wydarzeń dyżurnego KRP.

Jeszcze większy skandal to według superexpressowej relacji obraz działania policji na miejscu zdarzenia. „Koło bloku kłębiło się coraz więcej policjantów umundurowanych i po cywilnemu, a nawet w kuloodpornych kamizelkach” — donosi reporterka i relacjonuje dalej, że po pewnym czasie policjanci przywieźli przed blok trzech młodych mężczyzn, których skuli kajdankami i trzymali leżących na ziemi, a jednego nawet na asfalcie. Tym razem wszystko prawda, tyle że z relacji autorki reportażu nie wynika, skąd się wzięło takie działanie policji. Było ono podyktowane koniecznością zachowania środków ostrożności, ponieważ z zeznania kioskarza Waldemara K. wynikało, że zabójców było trzech i są uzbrojeni, a więc niebezpieczni. Kiedy więc zatrzymano trzech mężczyzn o zbliżonym do podanego przez Waldemara K. rysopisie, a jeden z nich miał przy sobie pistolet, potraktowano ich tak jak niebezpiecznych, uzbrojonych przestępców. Później okazało się, że nie są oni sprawcami zabójstwa, w chwili zatrzymania nie było to jednak znane.

Prawdopodobnie gdyby sytuacja była odwrotna i policja zatrzymała niebezpiecznych przestępców bez zachowania należytej ostrożności, a jeszcze w trakcie tego któryś z policjantów albo gapiów odniósł obrażenia — ten sam „Super Express” w równie sensacyjnym tonie zrobiłby z policjantów ofery i nieuków, którzy nie nadają się do ścigania bandytów.

Każdą sytuację można przedstawić w zależności od celu, któremu ma służyć. Wystarczy tylko w sposób dowolny potraktować fakty...

ELŻBIETA SITEK



R.P. Telekom S.A.

Twój niezawodny przewodnik w świecie telekomunikacji

W środkach masowego przekazu było głośno o tym wydarzeniu. Prasa, radio i telewizja informowały o otwarciu największej jak dotychczas prywatnej sieci telekomunikacyjnej w Polsce. Na uroczystości otwarcia byli obecni między innymi: wiceminister łączności Stanisław Popiołek, wiceminister Zarządu Telekomunikacji Polskiej S.A., parlamentarzyści, przedstawiciele władz centralnych, Urzędu Antymonopolowego i inni.

Łączność dla Policji

BY ROZDZWIŃIŁY SIĘ TELEFONY

Prezes R.P. TELEKOM S.A. Andrzej Radziński

— Pierwszy raz w historii polskiej telekomunikacji — jak stwierdził wiceminister — w jednym miejscu (w Świdniku w woj. lubelskim) działają trzy operatorzy łączności. Do monopolisty Telekomunikacji Polskiej S.A. oraz Centertelu dołączyła Spółka „Lublin Telekom”. Spółka, w której 88% udziałów ma R.P. TELEKOM S.A.

— Nasza firma nie jest niczym filią, jak to przeważnie bywa w tej branży — stwierdził prezes R.P. TELEKOM S.A., pan Andrzej Radziński. — Ponadto niczego nie produkujemy, nie kopiemy, nie budujemy. Ponieważ ustawa o łączności w 1991 r. wprowadziła demonopolizację polskiego rynku telekomunikacji, zawiązaliśmy spółkę z o.o., przekształconą następnie w spółkę akcyjną, której podstawowym zadaniem jest organizowanie przedsięwzięć w zakresie budowy sieci i świadczenia usług telekomunikacyjnych.

— Nasze sieci są w 100 procentach cyfrowe, a główne połączenia światłowodowe — kontynuuje mój rozmówca. — Założone przez nas spółki z udziałem samorządów otrzymały koncesję od ministra łączności na budowę sieci w województwach: lubelskim, chełmskim, toruńskim, piłskim, kaliskim, katowickim i warszawskim. Nie będę ukrywał, że są to tereny w przeważającej większości zaniedbane pod tym względem, gdzie bez naszej pomocy przeciętny śmiertelnik musiałby jeszcze wiele lat oczekiwać w kolejce na telefon. Dzięki nam może go mieć od razu i za mniejsze pieniądze. Oplaty, które pobieramy są kilka procent niższe niż w Telekomunikacji Polskiej S.A.

— Ponieważ budujemy za czysty, żywy kapitał akcyjny, wpłacany na nasze konto z kraju i z zagranicy, nie obciążamy naszych abonentów kosztami inwestycji (około tysiąca dolarów za jeden telefon).

Jak na razie spółce R.P. TELEKOM nie grozi brak funduszy. Wręcz odwrotnie. Posiada znacznie więcej kapitału, niż może zainwestować ze

względem na przydzielane w Ministerstwie łączności koncesje. Np. w 1995 nakłady inwestycyjne planowane są na sumę ponad 200 milionów dolarów, w 1996 r. — suma ta dojdzie prawie do 300 mln USD, ale w 1997 spadnie do 150 mln USD. I wcale nie chodzi tu o planowane uszczuplenie funduszy firmy, a jedynie wyczerpanie możliwości z dotychczas przyznanych koncesji.

Kiedy w 1990 r. powstała R.P. TELEKOM S.A., jej kapitał zakładowy sięgał 1,9 miliarda starych zł, zatrudniała 12 osób, i liczyła kilku akcjonariuszy. Teraz R.P. TELEKOM dysponuje milionami nowych złotych, zatrudnia 93 osoby plus 120 w spółkach, których współwłaścicielem jest R.P. TELEKOM, (między innymi: SPRINT RPT, TELCO, UNI-NET, KABEL MEDIA), a akcjonariuszami jest 170 osób i firm, w tym największy światowi potentaci finansowi.

Aby udowodnić, że na tych akcjach można zarobić i to dobrze, wystarczy podać przykład jednego z prywatnych polskich akcjonariuszy. Swego czasu sprzedał on dom na Bemowie w Warszawie, wynajął mieszkanie, a za pozostałe pieniądze kupił akcje TELKOM-u po 70 tys. starych złotych za sztukę. Teraz akcje te warte są około 30–40 dolarów za każdą. Spokojnie może już kupić sobie nowy dom i jeszcze sporo mu zostanie.

Akcje tej firmy również dobrze sprzedają się wśród mieszkańców USA. Aktualnie zakupiło je około 100 prywatnych amerykańskich akcjonariuszy.

Obecny monopolista, Telekomunikacja Polska S.A. także współpracuje z nowym operatorem. Oczywiście nie tylko z dobrej woli albo z powodu rozumienia konieczności swojej demonopolizacji. Telekomunikacji też się opłaca. Tylko jedna spółka „Lublin Telekom” (ta ze Świdnika) podległa R.P. TELEKOM daje wpływ do TP S.A. około kilkuset tysięcy nowych zł (kilką miliardów starych) miesięcznych stałych opłat, nie licząc wpływów z tytułu wynajmu i innych usług.

Wydaje się, że także policyjna łączność mogłaby wiele skorzystać na większym otwarciu się na tę właśnie firmę. Oferować ona będzie półtora miliona nowych linii telefonicznych w wielu dużych i całkiem małych miasteczkach kraju. Równie dobrze jak przeciętny Kowalski mogą z nich korzystać komisariaty policji. Podobnie jak i z sieci publicznej, radiowej łączności trunkingowej. Te same możliwości, które oferuje firma Ericsson (znana dobrze policjantom choćby z Warszawy, o której wielokrotnie już pisałyśmy na naszych łamach), ale bez konieczności zatrudniania pracowników do konserwacji sprzętu, budowania swoich własnych masztów, anten itp.

Jest oczywiste, że Policji nie będzie stać na wybudowanie we wszystkich rejonach kraju własnej sieci trunkingowej. Zresztą w niektórych województwach miałyby się to ze zdrowym rozsądkiem. Po co np. na Półwyspie Helskim, dla dwóch czy trzech jednostek policji osobne maszty, anteny, konserwatorzy itp.? Zwłaszcza że w tych rejonach funkcjonuje już sieć trunkingowa oferowana przez UNI-NET w holdingu z R.P. TELEKOM i nie wymaga ona żadnych dodatkowych inwestycji.

Firma UNI-NET będąca wspólną własnością TELEKOM-u i MOTOROLI świadczy usługi łączności trunkingowej w 20 aglomeracjach w całej Polsce i gotowa jest z dnia na dzień przyłączyć nowych abonentów.

R.P. TELEKOM jest również pierwszym autoryzowanym w Polsce dystrybutorem sprzętu firmy MOTOROLA — światowego lidera radiokomunikacji. To tak, jak mercedes wśród samochodów. Najwyższa jakość, najnowocześniejsza technologia. W 1991 r. TELEKOM przedstawił radiotelefony Motorola w Biurze łączności KGP. Przeszły wszelkie

możliwe próby wytrzymałościowe. Sprawdziły się zarówno podczas ulewnych deszczy, jak i suszy, upałów i trzaskających mrozów. Bez względu na warunki atmosferyczne sprzęt działał bez zarzutu. Posiada homologację MSW. To był pierwszy krok na drodze do przełamania bariery technologicznej. Funkcjonujący od niepamiętnych czasów przestarzały polski sprzęt okazał się absolutnie nieprzydatny do współczesnych wymogów policyjnej łączności.

Policja mogła więc kupować sama, bezpośrednio od MOTOROLI potrzebne jej radiotelefony. Ponieważ nie miała na to wystarczających środków, wielce przydatni okazali się lokalni sponsorzy. Wszystkie funkcjonowało zupełnie dobrze aż do afery poznańskiej. Wówczas to zaczęto krzywo patrzeć na policyjnych ofiarodawców. Każdy, kto chciał coś kupić policjantom od razu stawał się podejrzanym. W 1993 r. policja dokonała dużych bezpośrednich zakupów sprzętu radiowego na szczeblu centralnym od MOTOROLI (kilką tysięcy sztuk radiotelefonów). Ale obecnie niestety, nie starcza środków na kontynuowanie tak dużych, jednorazowych zakupów centralnych.

Najbardziej odczuwa się to w jednostkach terenowych. Firma R.P. TELEKOM S.A. jest w stanie przysłać im w każdej chwili z pomocą. Jest gotowa do ponownego wznowienia dostaw dla policji. Oferuje jak najkorzystniejsze warunki, zapewnia pełną obsługę dostarczonego do Polski sprzętu, daje też możliwość przeszkolenia użytkowników w zakresie serwisu oraz programowania radiotelefonów. Czy to pełni szczęścia trzeba jeszcze czegoś więcej? Może więc warto byłoby bardziej otworzyć się na propozycje prywatnych firm, takich choćby jak R.P. TELEKOM S.A.?

Artur P.



MOTOROLA

Authorized Distributor



**Największy w Polsce
prywatny holding
telekomunikacyjny:**

- tworzenie lokalnych sieci telekomunikacyjnych
- finansowanie inwestycji
- nowe technologie
- leasing i dystrybucja sprzętu telekomunikacyjnego

**Biuro Handlowe
R.P. Telekom S.A.
oferuje:**

- sprzęt radiokomunikacyjny
 - radiotelefony przenośne i przewoźne oraz stacjonarne (stacje bazowe)
- kompletne profesjonalne systemy łączności radiowej
 - dyspozytorskie sieci radiowe
 - systemy trunkingowej łączności radiowej
 - lokalne systemy przywoławcze (paging)

R.P. Telekom S.A.
Biuro Handlowe
04-051 Warszawa
ul. Poligonowa 3
tel./fax 637 31 18
fax 672 22 39

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY



Ostatni patrol

Cdy składał podanie o przyjęcie do policji, myślał tylko o pisku kół pędzącego radiowozu, o dzikim huku silnika, o szalejących po ulicach samochodach w wiecznej pogoni za kimś, komu wydaje się, że zdoła umknąć. Mało go obchodziły rzeczywiste problemy organów ścigania czy kwestie dotyczące samych przestępstw, pozostawały one niejako poza samochodem.

Miał tylko nadzieję, że wyślą go od razu na kurs dla zawodowych kierowców do Vallenlungi, gdzie nauczą go wchodzić w zakręt z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Lubił, jak wszystko za szybko momentalnie i nieodwracalnie znika, chciał być zawsze w pogoni za czymś, czego jeszcze nie znał. Właśnie z tego powodu z nikim się nie związał. Wolał prostytutki, które nigdy nie zadają pytań i pozwalają odejść bez tkliwych pożegnań. Poza tym Armando już wiedział coś niecoś o korbowodach i tłokach, jako że przez dwa lata naprawiał samochody w pewnym warsztacie w Torre Maura, swojej dzielnicy. Często w nocy wsiadał do samochodu jakiegos klienta i pędził po

autostradzie wiodącej do Florencji z włączonymi długimi światłami i otwartymi oknami, żeby silne podmuchy wiatru wpadały do środka. Niestety, któregoś razu dojeżdżając do baru przy stacji benzynowej miał wypadek i w ten sposób stracił posadę. Lecz teraz widział sam siebie w pędzącej błękitnej alfie, z rękoma opartymi na kierownicy i stopami na pedałach.

Przyjęto go do policji i przydzielono do formacji kawalerskiej. Dano mu białą klacz z dużą czarną plamą na grzbiecie, spokojną, o łagodnych oczach. Armando musiał zajmować się nią przez cały boży dzień: czyścić, ścierać pot, podawać paszę, sprawdzać podkowki. Przez sześć miesięcy instruktor ze staroświeckimi wąsami wtajemniczał go w najdziwniejsze sprawy, zupełnie jak na lekcjach religii: jak wsuwać buty w strzemiona, jak trzymać uprząż, kiedy używać bicia i w jaki sposób wystukiwać rytm. Trzy razy Armando spadł z konia na polu ćwiczeń prosto w błoto, gdyż nie dość mocno zaciskał kolana, innym razem w stajni wielki czarny koń kopnął go tak mocno, że aż zatonął pod ścianą.

W nocy leżąc na składanym łóżku Armando czuł się dziwnie nie-

szczęśliwy, zaskoczony tym, jak często nieprawdopodobnie układają się w życiu pewne sprawy. Wszyscy inni głęboko spali głośno pochrapując i nie było nikogo, kogo by można spytać: — A tobie jak tu jest? Rzecz jasna, na początku było jeszcze gorzej: po przebudzeniu znajdował na poduszce pastę do zębów, w długich butach pełno moczu, a między palcami u nóg kawałki lontu. Teraz już wszyscy spali twardym snem. Armando początkowo rozmyślał o samochodach mknących w środku nocy po ulicy Casilino, gdy światła uliczne są już żółte, a wokół panuje głęboka ciemność, była to jednak tylko melancholia. Później czasami wstawał i szedł popatrzeć na Ombre, swoją klacz, śpiącą na stojąco z nisko opuszczoną głową i prawie zastępywanymi mięśniami pod delikatną skórą. Była wysoka i taka jasna. Machinalnie dotykał jej miękkiej grzywki.

Po roku Armando jeździł konno już nie najgorzej, a klacz posłuszenie ulegała i słowom, i cugłom. Wtedy to po raz pierwszy wysłano go na służbę do parku Villa Ada. Pewien oficer wyjaśnił mu, że ma strzec bezpieczeństwa bawiących się dzieci, tulących się zakochanych i staruszków czytających na ławkach. Dano mu szabłę i odprowadzono do ulicy Olimpica. Był z nim jeszcze jeden rekrut, neapo-

Ale do Villa Ada było jeszcze daleko. Daleko do świeżych drzew, cichych staruszków na ławkach, jeziora. Było jeszcze tyle drogi do pokonania. W nogach odczuwał niepokój Ombry, jej strach przed tym metalicznym strumieniem, który ją zewsząd otaczał. Korzystali z objazdów przy stacjach benzynowych, lecz było to zaledwie kilkadziesiąt metrów i zaraz trzeba było wrócić na sęsę.

— Zastrane życie — powtarzał Sancho Pansa — jak tylko zdobęde trochę forsy, kupię ciężarówkę, będę robił przy przeprowadzkach i niech szlag trafi te konie... Armando czuł, jak pot klaczy miesza się z jego własnym, jak kopyta uderzają twardo o asfalt, tak rytmicznie, jak biło jego serce pod mundurem. Przy poboczu ponuro błyszczały stopy rozbitych samochodów, kawałki szyb, ślady tysięcy wypadków. — Codziennie ktoś się zabija, tu, na Olimpie — pomyślał Armando i odruchowo poszukał wzrokiem w bekształtnym złomie błękitnego wozu Emilia, starego kumpla. Czy też miał na imię Egidio? Przez chwilę nasłuchiwał, jak gdyby w nadziei, że z tej gmatwaniny blachy wydobędzie się przeciągły ryk jego pioniera.

Nieco później przejeżdżał obok dwóch prostitutek siedzących na masce forda z nogami wi-

litańczyk, który przeklinał pod nosem i dosiadał konia jak Sancho Pansa.

I tak, trzymając się razem, ruszyli powoli szeroką ulicą pomiędzy ciężarówkami i samochodami w krzyżących kolorach, które jeden za drugim wydostawały się z czarnej czeluści tunelu i natychmiast rozpraszały się w różnych kierunkach. Park Villa Ada oddalony był o trzy kilometry. Gdy się jechało samochodem, było to niewiele ponad minutę, krócej niż trwa piosenka w radio. Droga aż do skrzyżowania na Salwarii była nijaka, nudna i monotonna. Armando i Sancho Pansa trzymali się ze swymi końmi pobocza nie puszczając cugli, by zwierzęta nie uskakiwały w bok, gdy przejeżdżające blisko motocykle ochlapwały je błotem, a autokary ciężko trąbiły. — To gówno, a nie robota — burczał neapolitańczyk z papierosem w ustach i krzywo nasuniętą czapką. Armando nie zwracał na niego uwagi, wpatrywał się w żółtą linię na szosie noszącą ślady gwałtownego hamowania i czuł na udach każdy ruch klaczy. — Dobry koń — szeptał do niej — bądź grzeczna, spokojnie, wszystko będzie dobrze, niedługo będziemy na miejscu.

szącymi w powietrzu, zupełnie jak małe dziewczynki na ławce. Śmiały się. Wskazywały na niego i się śmiały. Z jedną z nich Armando raz był. Zabrał ją do mercedesa swojego klienta i po paru minutach odwiózł z powrotem, tu, na tę rozgrzaną od słońca maskę silnika. To było tak dawno temu. Teraz neapolitańczyk pogroził im szabłą, one zaś, stukając obcasami o błotnik, znowu wybuchnęły śmiechem. Klacz Armanda kręciła pyskiem, coraz silniej się trzęsła i machała długim białym ogonem. — No już, chodźmy — mówił Armando — daj im spokój.

— Kupię sobie tę ciężarówkę, zabiorę sto dziwek — krzyczał Pansa — i przelecę je wszystkie. Z prawej strony wyprzedził ich młody chłopak na motorze z rozklekotanym tłumikiem, za nim następny. Armando zaciskał kolana, trzymał się kurczowo Ombry, obejmował jej mokrą szyję. W tym czasie dziesięć pędzących autokarów turystycznych, jak wielka ściana, rzuciło na nich ogromny cień. — Dokąd oni tak lecą — pytał pierwszy raz w życiu sam siebie — dokąd i po co? Znad tego powołnego i wystraszonego grzbiotu świat wydał mu się raptem bezsensowny i zły, a park nieosiągalny.

Pomyślał jednak, że chodzi tu o honor Ombry i jego własny. Wyprowadził się, przyciągnął łokcie do klatki piersiowej i wysunął do góry czubki butów. Wyciągnął rękę i dał Ombrie kostkę cukru. — Jesteśmy razem, my dwoje — pomyślał tak, jak nigdy przedtem o żadnej dziewczynie z Torre Maurra. — Biedne zwierzę, muszę o nią dbać. Ombra parskała, powoli przesuwała kopyta i kiwała głową w takt uderzeń podków o szosę. Koń neapolitańczyka był mniej wystraszony ogłuszającym strumieniem samochodów, a Sancho Pansa nucił piosenkę Madonny. — Cicho bądź — upomniał go Armando.

Teraz jechali już bardzo wolno. Armando patrzył, jak spływające po pysku klaczy krople potu mieszają się ze śladami oleju i benzyny na asfalcie. Rozmyślał wówczas o tym, jak bardzo chciałby któregoś dnia wrócić do domu z Ombra, przejechać przed miejscowymi barami i pizzeriami i z siodła pomachać wszystkim znajomym. Potem wejść z koniem do bloku, zaprowadzić to ciepłe, żywe stworzenie po schodach aż na czwarte piętro i powiedzieć matce: — To jest Ombra, mój koń, chcielibyśmy trochę odpocząć.

Wreszcie dotarli do Villa Ada. Przed ogrodzeniem stały zaparkowane samochody, za bramą ciągnęła się parkowa alejka biegnąca wokół jeziora. Były tam ławki, spacerujący ludzie, rowery, cień pod drzewami i wszędzie głosy ptaków. Upał był tu bez porównania mniejszy niż na Olimpie, jak gdyby wiatr nie mógł się stąd nigdzie wydostać. Armando ze strachem pomyślał o drodze powrotnej, o ciężarówkach i autobusach, o setkach samochodów i motocykli, o strachu Ombry i o złotych pasach na drodze. — Teraz jest nam dobrze, prawda? — szepnął.

Jedenastoletni chłopczyk wyjął z kieszeni procę. Podniósł z ziemi najładniejszy kamyk, jaki znalazł, i umieścił go w skórzanym pasku. Schował się za żywopłotem i z zaciętością naciągnął gumę. Inni chłopcy pobili go tego dnia.

Armando nadal rozmyślał. Zastanawiał się, czy aby Ombra zmieści się w windzie. Żałował, że nie może widzieć jej oczu. — Jesteś najpiękniejsza, Ombra...

Kamień uderzył ją prosto w skroń. Stała się jak na cyrkowej arenie i zrzuciła Armandę z siodła. Upadek był pechowy. Policjant jak przez mgłę widział jeszcze starszuchę chichoczącą za swoimi gazetami, ciemne postacie całujących się zakochanych, ciemne drzewa, ciemne niebo. Wyglądało to wszystko tak, jak w dzieciństwie wyobrażał sobie inne życie, to następne... Odruchowo zaciśnął kolana... Potem już nigdy niczego nie zobaczył...

W trzy godziny później Ombra odprowadzono z powrotem na ulicę Veneto.

opow. Marco Ladoli
przekład MONIKA SOKALSKA

NIELEGALNA DRUKARNIA

Od pewnego czasu na terenie Polski zaczęły pojawiać się dobrze podrobione prawa jazdy i dowody rejestracyjne pojazdów. Nikt jednak nie podejrzewał, że ci sami „specjaliści” produkują fałszywe bilety MPK dla Krakowa w... Warszawie.

Policjanci z Wydziału ds. Przestępczości Gospodarczej KRP Warszawa-Praga-Płn. po uzyskaniu wcześniejszych informacji przeprowadzili kontrolę w Zakładzie Poligraficznym „SASA-DRUK” przy ul. Modlińskiej w Warszawie. Dała ona niespodziewane wyniki: w zakładzie na gorącym uczynku produkcji fałszywych banderol akcyzowych dla białoruskich wódek, etykiet polskich alkoholi i nalepek na polskie kasety magnetofonowe zatrzymano właściciela firmy 43-letniego Wiesława M., mieszkańca Warszawy.

W jego samochodzie marki Toyota ujawniono ponadto 2 folie negatywowe do fałszowania druków dowodów rejestracyjnych i druków prawa jazdy. Nie mniej ciekawe okazały się wyniki przesłuchania mieszkanka pomocnika właściciela zakładu, 40-letniego Grzegorza G.: policjanci zabezpieczyli w nim 28 matryc drukarskich do nielegalnej produkcji biletów komunikacji miejskiej w Krakowie, a także pistolet gazowy marki Walther, na który właściciel nie miał zezwolenia.

Najbliższe tygodnie śledztwa, prowadzonego pod nadzorem praskiej prokuratury, wykażą, czy krąg podejrzanych rozszerzy się. Wówczas podamy dalsze szczegóły sprawy.

W.G.

REKLAMA

WYKRYWACZE BRONI, METALI, MILITARIÓW, ZŁOTA

Ryszarda 44,
PPHU 05-800 Pruszków
„ARMAND tel. (0-2) 758-73-48



GARDA '95

V OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA SYSTEMÓW OCHRONY

Warszawa 25-28 października 1995

Centrum Targowe Mokotów

FUNDACJA SPORTU W POLICJI „FAIR PLAY”

„Gazeta Policyjna”, „Magazyn Kryminalny 997”

Warszawski Ośrodek Telewizyjny

Radio dla Ciebie

oraz

„Rzeczpospolita”, „Trybuna”, „Przegląd Techniczny”, „Systemy Alarmowe”, „Prawo i Życie”, „Moto Express”

zapraszają do uczestnictwa w wystawie

producentów, dystrybutorów, instalatorów urządzeń i systemów zabezpieczających oraz firmy fizycznej ochrony osób i mienia

Tematyka wystawy:

- systemy kontroli włamania i napadu • systemy autoalarmowe
- systemy przeciwpożarowe • inne systemy zabezpieczające
- systemy kontroli dostępu • wyposażenie techniczne ekip ochrony
- systemy telewizji użytkowej • usługi fizycznej ochrony osób i mienia
- systemy monitorowania stanów alarmowych



POLISA s.a. – oficjalny sponsor

Wszystkich zainteresowanych uczestnictwem w GARDZIE '95 lub otrzymaniem zaproszenia do odwiedzenia wystawy prosimy o kontakt z organizatorem

Fundacja Sportu w Policji „Fair Play”
00-656 Warszawa, ul. Śniadeckich 10
tel. (22) 29-66-30, (2) 628-75-71, fax (22) 29-65-74

magazyn

997

kryminalny

WYDAJE

KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

Zespół redakcyjny: **ELŻBIETA CIERLIKA** (redaktor naczelny, 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCZYK** (red. graficzny), **Przemysław Kacak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Jerzy Paciorkowski, MARIA PAWLAK** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Adam K. Podgórski** (oddział redakcji w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Beata Tallar, Paweł Szlachetko, Hanna Świeszcakowska, MARCEL TABOR** (zastępca red. naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Krzysztof Zaczekiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Morzkryszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Agata Guzek-Wrotna** (601-61-15)

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Teresa Tomaszewska** (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **K. Górniak, S. Jung, J. Larecki, Z. Matwiej, M. Owczarek, Z. Razmuk, M. Sokalska, L. Terpiłowski**

ADRES REDAKCJI: 02-514 Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, Telefon sekretariatu: 601-61-26, kasa 601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”.

II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: ul. Domaniewska 36/38, 02-514 Warszawa 12, tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: BPH O/III Warszawa nr 320049-433-130-1 ZAG KGP (prenumerata).

Wyłączny dystrybutor w USA (wschodnie wybrzeże) Andrew Artistic Distribution INC., Janusz Czuj, 419 Manhattan Ave., Brooklyn NY 11222 tel.: (718) 388-6770, (718) 384-6050 fax: (718) 387-0484.

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997”. Cena: słowo 2 zł, cm² cz-b — 3 zł. Kolorowe dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto: 1 IX 1995 r.
Zam. 50871
REDAKTOR ZYDJURNY:
ELŻBIETA SITEK

Brazylia



W IMIĘ BOŻE

Książd Argentino Gusso zapłaci odszkodowanie za sprzedaż kościoła w mieście Matematico (płd. Brazylia). Ponieważ kościół był w bardzo złym stanie i wierni nie przychodzili już na mszę, w 1992 r. książd Gusso zaczął kościół rozebrać. Uzyskany materiał sprzedał prywatnemu przedsiębiorcy na budowę domu. Adwokat księdza zapewnia, że pieniądze ze sprzedaży złożone zostały na koncie innego kościoła, w sąsiednim mieście, i miały być przeznaczone na jego konserwację. Rolnik, Juvenal de Castilho, ofiarodawca terenu pod budowę kościoła w Matematico, twierdzi, że został okradziony. Wysokość odszkodowania ma wynieść ok. 50 milionów cruzeiro.

na podst. „Jisto e”

oprac. KRYSZYNA GÓRNIK

cyh przepisy ruchu drogowego czy prowadzących pojazd w stanie alkoholowego zamroczenia. Środek ten ma być skutecznym przede wszystkim wobec cudzoziemców, których, w odróżnieniu od Holendrów, trudno ukarać tradycyjną metodą, czyli wysyłając mandat pod adresem domowym. Również Holendrom, którzy nie lubią nosić przy sobie gotówki, trudno będzie powoływać się na jej brak. Zaoszczędzi również policja eliminując papierkową robotę.

MANDATY PŁACIĆ SIĘ BĘDZIE KARTAMI KREDYTOWYMI

Samochodowe patrol holenderskiej policji drogowej wyposażone będą w najbliższym czasie w specjalne aparaty elektroniczne do uiszczania mandatów za pośrednictwem kart kredytowych. Zdaniem autorów tego pomysłu, powinno rozwiązać problem natychmiastowego karania kierowców naruszają-

zdz. Paweł Pestka

ZAPAMIĘTAJ

Pracuję nad tym, by uczynić z ludzi inteligentnych katolików, co nie jest proste, a katolików uczynić inteligentnymi, co jest jeszcze trudniejsze.



FRASZKI

Taki porządek

Nie schodzi na złą drogę — nawet kiedy chodzi o jej naprawę.

Przychylność

Nieba przychylił ludzkie gotowi — ale dopiero nieboszczykowi.

Nie nauczony doświadczeniem

Rzekł, gdy już posiadał wiedzę: — Teraz sobie posiedzę...

JERZY LESZCZYŃSKI

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																																								